7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



W MAŁYM, CICHYM DOMKU... (fot. Paramount, Metro)

„Aniołowie święci pieśni mu śpiewają"...

Przystępując do skreślenia niniejszego artykułu, długo wahałem się nad tem, jak mam zacząć? Czy uroczyście, jak przystało, gdy mowa o twórczości jednego z największych ludzi, którymi możemy się poszczycić — czy też czysto intymnie i prosto, ot tak, jak serce dyktuje? A że temat ten nie wypływa z chęci pochwalenia się jakąś uczoną rewelacją z dziedziny literatury, ani z okoliczności, związanej z obowiązkiem dziennikarskim (odsłonięcia pomnika Kasprowicza w Inowrocławiu) — jeno ze szczerego uczucia, wolę pójść tą drugą, bardzo prostą drogą.

— — — — — — — — — —

I zacznę... od siebie.

Było to w armji rosyjskiej, późną jesienią 1915 roku. Przeszliśmy właśnie z Małopolski do Bessarabji, gdzie nędzne warunki naszego bytowania znacznie się jeszcze pogorszyły. Nuda. Żarła straszliwa tęsknota. I oto któregoś poranku, przeniósłszy się na inną kwaterę, znalazłem pewien tomik, który stał się dla mnie na całe lata skarbem, pocieszycielem. Było to (tomik ten zajmuje dotychczas honorowe miejsce w mojej bibljotece) najpopularniejsze wydanie „Pana Tadeusza", ze szczególnem i drogiem „ex librisem": *W dniu wyruszenia na wojnę — S. Kamiński.*

Sam nie wiesz, kochany żołnierzyku nieznany, ileś przysporzył mi pociechy, pozostawiając ten tomik w „kurnej" chacie bessarabskiej... Perły natchnienia naszego Wieszcza — na tle bezbrzeżnego schamienia, które było codzienną naszą atmosferą, w jałowości każdej chwili, tak rozkładowo działającej na dusze były mi prawdziwą pociechą...

— — — — — — — — — —

Wojna się skończyła. Przynajmniej dla nas, z armji rosyjskiej. Rozpadliśmy się — mimo, że wszelkiemi siłami usiłowaliśmy skupić wszystkie elementy na obczyźnie. Powracaliśmy do kraju, rozbici, jak „łaziki"; wielu z nas nie mogło na razie pogodzić się z myślą, iż rozdział przecież nie jest dokończony. Okupacja. Przemoc. Co robić?

Niezwłocznie prawie po powrocie do stolicy — wyjechałem. I znów w znane mi strony, nad Zbrucz. Zawierucha wojenna ciężko dotknęła tę okolicę kraju. Całe miasteczka uległy doszczętnemu zniszczeniu. I oto z konieczności osiadłem wśród takich rumowisk. Czułem po pewnym czasie, że siły mnie opuszczają. Nerwy... Lecz i wówczas, podobnie jak przed paroma laty, przypadkiem znaleziona książka przywróciła mnie do równowagi. Zawdzięczam to tym razem „Księdze Ubogich" Kasprowicza, z której nauczyłem się czytać, rozumieć i kochać mało mi znanego z przed wojny poetę.

Boć, proszę tylko pomyśleć, co mogą w chwilach podobnej depresji cudowne rymy poety, który, przeszedłszy przez zażarty bój i przez głęboką rozpacz, z żywiołową mocą postanowił bronić serc „od spopielenia".

— — — — — — — — — —

I tu wreszcie zaczynamy dochodzić do właściwego tematu artykułu — o Nim, o Kasprowiczu.

Pozwolę sobie jednakże wstawić nową dygresję. Chodzi mi mianowicie o to, aby Czytelnicy, posądzając mnie o powodowanie się wspomnieniem o jakiejś dezorganizacji duchowej — nazwijmy ją romantyzmem — nie przypisywali mi, że identyfikuję Mickiewicza z Kasprowiczem, i z nich obu, będąc może osobiście marzycielem, robię romantyków jednakich poglądów i aspiracyj. Że obaj ratowali mnie w jednakowych okolicznościach od krańcowej nostalgji i upadku ducha — jest sprawą ich genjalnego talentu. Nie mniej jednak, przyznać należy, że Kasprowicz, będąc współczesnym, był najzupełniej odrębną indywidualnością duchową, wyrosłą na tle b. niedawnej przeszłości i zupełnie mi bliski.

Przejdziemy więc do nieodżałowanego Kasprowicza i nawiązuję tę myśl do chwili bieżącej.

Mówią nam o Polsce szlacheckiej, o Polsce ludowej... Formuły, frazesy, puste słowa, któremi się lubujemy, zapominając jeno o jednem, iż wszyscy bez wyjątku pochodzimy ze wspólnej Macierzy i że bez względu na ten lub inny dyplom winniśmy Jej wierną służbę.

I oto Kasprowicz, ten wielki Polak, który własnemi siłami, z wiejskiej chatyny wszedł na najwyższe szczeble chwały, ten żarliwy patrjota, który, „korzystając z prawa wojującego człowieka", walczył przeciw przemocy i był wzorem irredentyzmu, ten natchniony wieszcz, co w każdym utworze dokumentował żarliwą miłość do Ojczyzny — nader powściągliwie używał samego wyrazu czyzna.

W mej pieśni bogatej, czy biednej
Przyzna mi ktoś lub nie przyzna —
Żyje tak rzadko na wargach,
Moja najdroższa Ojczyzna.

Jak czynić należy, by zasłużyć na miano dobrego syna Ojczyzny?

Czuwaj! Do czynu ciągłego
Młodzieńcze wyciągaj ramiona,
Ojczyzna sprawności twej wzywa,
Do ciebie ma prawo li ona!

Idź, czuwaj! I zawsze miej wiarę,
Cokolwiekby losy zrządziły:
Jest Polska i będzie do końca,
Jeśli jej starczy twej siły.

Idź, czuwaj! Kochając swe serce,
Prawdy w niem buduj świątynię:
Żyć warto, jeśli twe serce
Ofiarnie dla Polski płynie.

Idź, czuwaj! Otwarte miej oczy,
Byś dostrzegł w sam czas, z jakiej strony
I jaki się wróg ku nam skrada,
Chęcią niszczenia wiedziony;

Idź, czuwaj! Bądź czujny! Codziennie
Ucho przykładaj do ziemi,
Byś słyszeł jej szept najmniejszy,
Gdzie pójść masz z ramiony swojemi.

Idź, czuwaj! Patrz! Słuchaj, byś wiedział,
Nim z swoją rozminiesz się dobą,
Gdzie pójść masz z sercem i duszą,
Z tem wszystkiem, co tylko jest—tobą.

Miłość i pokora w połączeniu z sarmacką hardością, służyły genjalnemu poecie polskiemu za drogowskaz i pozwalały mu toczyć tak szczególne rozhowory choćby z samym Bogiem, przed którym, jako społecznik, wstawiał się za niedolę ludzką:

Lichy jest ze mnie adwokat,
Lecz dla obrony, mój Boże,
Przytoczę, że tylko przed Tobą
Każdej się chwili ukorzę.

A że „głos odwieczny do wielkich wyznań Go woła" — więc wyznaje z wdziękiem i prostotą:

Kochałem najlichsze źdźbło trawy
I człeka, co z losem się zmaga.
Najmniejszy listek na drzewie
Najmniejsza wody kropelka,
Czci mojej były przedmiotem —
Jak Twoja władza jest wielka.

— — — — — — — — — —

Kiedy popadniecie w rozterkę duchową, posłuchajcie, mili Czytelnicy, serdecznej mej rady i sięgnijcie do tomików poety, gdyż tak wielkie jest jego dzieło dla ludzkiej niedoli, iż z nakazu bożego bez żadnej wątpliwości

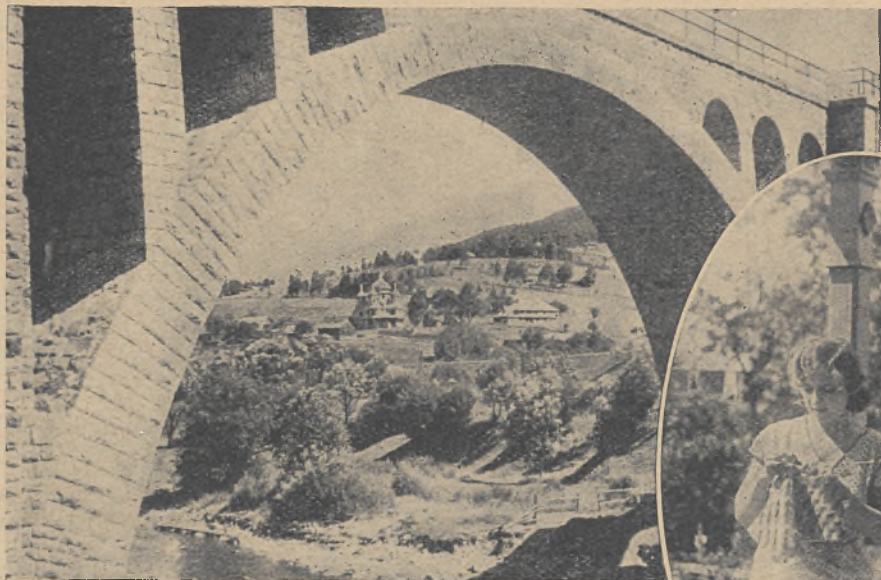
...aniołowie święci pieśni mu śpiewają.

Cóż dopiero za wdzięczność ludziska winni mu okazywać!...

Do Czytelników

Wkrótce rozpoczynamy druk powieści Mac Orlan'a p. .t „Noc MARJI CHANTAL". Fascynująca, sensacyjna treść tej powieści trzyma w napięciu uwagę Czytelnika od pierwszej do ostatniej karty.

Nasi Czytelnicy na wywczasach







Pan Jan Kamiński zasyła nam fotografje ze swego pobytu w cudnej Worochcie ...a miła, anonimowa Czytelniczka z anonimowej miejscowości, może tuż z pod Warszawy, a może z za siedmiu gór...

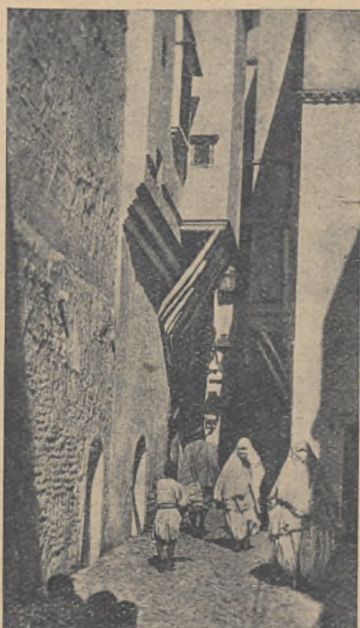




Inż. Ostrzycki był w Afryce i dedykuje nam zdjęcia z Algieru i wyprawy Hoggaro - Sacharyjskiej.



P. Czaplic Pohorecki cudownie spędził czas na Helgolandzie i na Samoa (na Wiśle) i brał nawet udział w strasznych przygodach detektywnych (na (moście Poniatowskiego).





A tu zdjęcie z plaży w Warnie, gdzie przebywała miła małżonka naszego kolegi redakcyjnego.



I wreszcie urocza Halinka (o Jimie — wybacz poufałość) na „nachkuhr"... w Łazienkach.

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI.

LIST Z BIARRITZ

Biarritz, data stempla pocztowego, 45 w cieniu.

Kochana Redakcjo „Siedmiu Dni"!

Na wyjezdnem z Warszawy stanęła między nami umowa, że za zwykły list z Biarritz zapłacicie mi w złotych polskich, za list, zawierający opis Corridy — w dolarach, wreszcie, za list, zawierający historję jakiegoś kolosalnego skandalu (którego bohaterem byłbym *ja*) — w funtach szterlingach.

Otóż rzeczy tak się mają, że listu z plaży przysłać Wam nie zamierzam, do San Sebastian jeszcze nie jeździłem (nie było poco: na ostatniej Corridzie byki pokazali podłe) — a na te funty mam apetyt.

Daję Wam tedy odrazu list ze *złotej serji*, zawierający opis *kolosalnego* skandalu, w którym, jako główni aktorzy, występują:

Atlantyk,
Upał,
Ja,
Marie,
Mama Marie,
Stara angielka,
Dyrektor hotelu,
i
Mój fryzjer.

Uprzedzam odrazu, że nakład numeru, w którym się ten list ukaże, należy podwoić: mój feljeton będzie bowiem tylko *dla dorosłych*. Rzecz prosta, że numer rozchwytają.

*

Czem się różni polski turysta od turysty innej narodowości? Polski turysta tem się różni od turysty innej narodowości, że posiadając (przynajmniej we własnem mniemaniu) wyższą inteligencję i niższą (przynajmniej w ogólnem mniemaniu) walutę — ustosunkowuje się do napotykanych zjawisk życia w sposób ironicznie-obserwacyjny, z wysoka-satyryczny, że tak powiemy—Kwiprokwacki (porównaj: Dymsza — „Dziwak jestem"). Więc, gdy inni tańczą, polski turysta zwykle nie tańczy (nie zabrał smokinga?). Więc, gdy inni się kąpią, polski turysta zwykle się nie kąpie (niema kostjumu kąpielowego? Nie umie pływać?). Więc, gdy inni grają w baka, on się tylko z politowaniem uśmiecha (ma, po opłaceniu pensjonatu, 10 franków na przyjemności?). Więc, gdy inni śmieją się z byle czego do rozpuku, on mruży oczy i patrzy w dal (nie wie, czy wypada bawić się w piłkę, gdy się robiło „Cud Wisły"?).

A wogóle, polski turysta ustawicznie sam siebie handicapuje...

*

Przyjechawszy do Biarritz, zorjentowałem się odrazu, że tutaj, w tym natłoku miljonerów, bankierów, snobów, burżujów, kokot i żigolasów — zginę. Zginę niesławnie, i nikt mi nawet takiej tabliczki nie wmuruje, jaką tu wmurowano dobrej Eugienji. Postanowiłem tedy zrezygnować narązie z konkiet w *Miramar*, w *Chambre d'Amour*, *Casanovie*, czy *Chiberta* — postanowiłem, jak ognia, unikać wielkich hoteli, gdzie się za lemoniadę płaci 20 franków, a do tego kelnerowi 5 na piwo, bo inaczej drab na ciebie parska, jak ryś — postanowiłem unikać najgorszego szampana po 250 franków butelka — i chasseur'ów, którzy grywali widać w golfa z Alfonsem XIII, bo nawet z amerykanami gadają przez nos— i ograniczyć się do skromnych, ale niewątpliwych zdobyczy w domowem kółeczku, to znaczy w granicach hotelu i ogródka „Maison Ronde", gdzie zamieszkuję. Nota bene: zgryzłem się odrazu strasznie, że nie było chorągwi, kiedy tutaj przyjechałem, ani deputacji z powodu „Zdzisław Kleszczyński przyjechał!" Ale widziałem się z Ossendowskim, który się moczy o 15 kilometrów stąd, w takiem St. Jean de Luz: powiedział mi, że go też nikt nie witał z pochodniami... To mnie trochę uspokoiło...

*

Zaraz po przyjeździe poszedłem przywitać się z Oceanem Atlantyckim. Poszedłem, staję na skale, wyciągam rękę, przypominam mu się (ostatni raz widzieliśmy się przed wojną, mógł mnie zapomnieć).

— Kleszczyński jestem.

A to bydlę nic.

— Kleszczyński jestem — powtarzam. — Znaliśmy się dawniej dobrze, kiedy tuzin ostryg kosztował jeszcze 3 franki... Bonjour, *mon vieux*.

A Atlantyk nic, ani mrugnie. Żeby chociaż jakaś fala większa, niby na znak wzruszenia... Akurat!

— Tfu — myślę sobie. — Wszystko się zmieniło po wojnie...

Raptem, jakiś nieoczekiwanie duży bałwan:

— Pszszszszszsz...

Rozbił się u stóp Rocher de la Vierge.

— Nareszcie, na moją intencję! — myślę: — Jednak mnie poznał!

A tu za mną zaczynają paskudnie naraz szwargotać. Oglądam się. Do djabła! Jakieś amerykany, z wielkim Cadillakiem... To nie na moją cześć, tylko na ich..

Schamiał świat.

Więc wróciłem, zgorzkniały, do hotelu, ubrałem się w białe majtki i zeszedłem na dół, do sali jadalnej. W *menu* były zapowiedziane *moules marinière*, strasznie to lubię. Usiadłem przy stole, rozpogodziłem się...

Szelest przy sąsiednim stoliku. Oglądam się: młoda, ładna pani, z przodu po szyję, z tyłu goła — aha, w kostjumie kąpielowym! — opalona na bronz. Z nią mała, urocza dziewczyneczka, taka 3-letnia figa.

— Córka?

Przy deserze dowiedziałem się, że córka. Dowiedziałem się jeszcze, że ta ładna pani bawi tu sama. Mąż gdzieś daleko, zato maszynę (ona) ze sobą ma. Sama, rzecz prosta, prowadzi...

— Coś dla mnie! — błysnęło mi. — Może być bajeczna przygoda!

Odrazu (jak mi się zdawało) obie skokietowałem: tę 3-letnią i jej autorkę. Małej podniosłem piłkę i pocałowałem ją w łapkę (Małą!). Mamie powiedziałem coś niezmiernie dowcipnego. Zdaje się, że jest bardzo gorąco, i że jeżeli w dalszym ciągu będzie tak gorąco, to nam wszystkim będzie bardzo gorąco.

Uśmiechnęła się, pokazując przepyszne zęby, wstała, wzięła dziecko za rękę i odeszła, skinąwszy mi lekko głową.

— Już jest moja! — zakipiała we mnie radość: — Grunt, impet!

Na intencję zacną kropnąłem w barze duży cocktail, po którym mnie o mały włos szlag nie trafił — i przebrałem się wieczorem zupełnie na biało. Ale spotkał mnie srogi zawód. Skądciś napantałyczył się jakiś młodzik w smokingu, podszedł do tych pań, młodszej dał pstryka w nos, starszą klepnął przyjacielsko po łopatce (dalibóg, chcę w to wierzyć, że *po łopatce*) wzięli, wstali, wsiedli do maszyny, ona ujęła kierownicę, dziewczynkę, jak jaką paczkę, posadzili na tylnem siedzeniu, on (ten żigolas) rozwalił się przy pięknej pani — dali gazu — i odjechali.

— Carramba! — zakląłem, zdaje sie, że po hiszpańsku, a potem, po polsku: — Psiakrew!

*

Zasięgnąłem informacyj. On — ten szczeniak — jest synem ciężko bogatego fabrykanta podwiązek (czy szelek) z Bordeaux. Ma własną willę w okolicach Biarritz, własną Isottę i dużo pieniędzy na drobne wydatki. Ona — jest żoną jakiegoś przemysłowca, który pół życia spędza w Maroku...

— To nic nie znaczy — powiedziałem sobie: — Pomimo wszystko, wątły typ. Ja się prezentuję znacznie rozłożyściej w ramionach. Pozatem, napewno biję go inteligencją!

Jeszcze sobie powiedziałem:

— W razie czego, zadeklamuję jaki mój wiersz. Ani w ząb nie zrozumie, ale muzyka słów napewno ją weźmie. Nie byłaby kobietą!

I postanowiłem:

— Jutro przychodzę na śniadanie w kostjumie kąpielowym. Niech mnie obejrzy, oceni, niech nas ze sobą porówna (mnie — i tego od szelek) i niech wybierze, mnie, albo jego. A to, że będę półnagi, to jeszcze lepiej: upały tu są naprawdę nie do zniesienia! Dziś się przykleiłem do krzesła...



— Co robić? No, cóż, jak zgubiłeś majtki — to siedź tak do zmroku...

*

Jakoż ukazałem się nazajutrz przy lunchu w ciasnym białym maillocie, goły, jak Adam. Przepych mojej męskiej nagości musiał zrobić na sali wrażenie: zauważyłem, że stara angielka, siedząca o trzy stoliki dalej, pośpiesznie zaczęła się wachlować, a potem wstała i poszła do biura hotelowego, jak gdyby ją gnały furje.

— Dobra nasza!

Jakie to wrażenie zrobiło na mojej damie, nie zauważyłem. Nie chciałem się za siebie oglądać ze względów taktycznych. Ale byłem pewien, że siedzi ze spuszczonemi oczami, z szybko dyszącą piersią, nawskroś wzruszona i rozmarzona, żeby nie powiedzieć więcej...

*

Raptem, położono mi liścik od zarządu hotelu.

— „Najmocniej przepraszamy — pisał dyrektor hotelu, — ale pan jest proszony o nieukazywanie się w takim stroju przy stole, albo przynajmniej, o *zepilowanie się!* Z poważaniem....“

*

Wściekły, jak członek Camorry, któremu zafantowano odświętny garnitur, udałem się do mojego fryzjera. (Powiada, że jest hiszpanem, ale, zdaje się, że pochodzi z Berdyczowa).

— Ecoutez — powiedziałem. — Muszę się *odwłosić!*

— To się da zrobić, parfaitement — odpowiedział: — Przysłano mi właśnie z Paryża doskonały depilatoir.

Posadził mnie, rozebranego, w hermetycznie zamkniętej kabinie, w której było 60 stopni gorąca, otworzył jakąś zieloną butlę. — Dio mio! Ten straszliwy zapach...

— Niema pan, mistrzu, czegoś mniej pachnącego?

—Nie mam. To jest zresztą najskuteczniejsze, pan zobaczy. Epilowałem tym środkiem pewnego matadora hiszpańskiego, który miał kłaki, jak dżungla: zrobił się gładki, gładziutki...

— No, to wal pan!

Ach, moi Przyjaciele, co on ze mną wyrabiał! Tarł, tarł, darł, darł... i nic. Całą skórę ze mnie zdarł, w kabinie pachniało zgniłemi jajkami, siarką, smołą, asfaltem, dziegciem, olejem rycynowym, kminkiem, dynamitem — a włosięta nic, trwały.

— Pan ma wyjątkowo mocny *zarost* — powiedział. — Boję się, że nawet *ten* płyn nic nie pomoże!

Znowu zaczął trzeć, jeszcze mocniej; rozjątrzył mi całą skórę — i nic. Jak było przedtem, tak zostało.

— Beznadziejne, Monsieur — oświadczył. — Pan jest człowiek-żelazo! Kobiety muszą pana uwielbiać.

— Złam pan język.

*

Po powrocie do hotelu dowiedziałem się, że piękna dama wyjechała z synem fabrykanta podwiązek (czy też szelek) na 3-dniową wycieczkę, zabierając ze sobą tylko kostjum kąpielowy, sombrero i pyjamę, zostawiając zato w zastaw uroczą 3-letnią *Marie*.

— Maleńka — westchnąłem, klękając przed *Marie*. — Twoja matka jest niemoralną kobietą!

Na to *Marie* (która się właśnie bawiła lalką) zmrużyła szelmosko cudne, czarne ślepki i spojrzała na mnie odrobinkę sarkastycznie.

Te francuzki!..

Pierwsza miłość

Najdroższe przeżycie młodości, wspominane zawsze z rozrzewnieniem, z tęskną melancholją za minionemi beztroskiemi latami, kiedy to wszystko wydawało się tak łatwem do zdobycia, kiedy to mierzyło się „siły na zamiary“, a lepkie błoto życia nie zdążyło jeszcze przywrzeć do nóg młodzieńczych — to pierwsza miłość. Nie jeden z nas ukrywa w swem sercu ten czysty klejnot pierwszej miłości, która jakże była inną od każdej następnej.

Bądźmy niedyskretni i zajrzyjmy do pamiętników, sztambuchów i listów wielkich ludzi i przeżyjmy wraz z nimi ich pierwszą miłość.

Angielski poeta Byron zakochał się, mając już... cztery lata, a kiedy doszedł do lat 16-tu, jego ukochana zażądała, by się z nią ożenił. Jednak liczne przeszkody nie pozwoliły na to. „Czułem, że się uduszę — pisał on o tem przeżyciu — zupełnie byłem nieprzytomny i nie wiedziałem nawet, kto kierował wówczas mojemi ruchami. Nie potrafiłbym sobie wystawić miłości silniejszej od mojej“. Cała późniejsza twórczość Byrona, mająca w sobie coś nieczłowieczego, dosięgająca często nadludzkich cierpień i chaotycznej, demonicznej ekstazy, miała swój początek w tej pierwszej, niezaspokojonej miłości.

W tym samym „dojrzałym“ wieku, co Byron, poznał swą pierwszą miłość Hebbel. Oto wyciąg z jego pamiętnika: „Matka zaprowadziła mnie do szkoły, gdzie po jednej stronie siedzieli chłopcy, po drugiej dziewczęta. Długo siedziałem osłupiały, nie wiedząc, co się koło mnie dzieje... Wreszcie, spojrzawszy w bok, ujrzałem wątłą, bladą dziewczynkę, siedzącą w tym samym rzędzie, co i ja. Była to córka miejscowego organisty. Nazywała się Emilja. W tej chwili poczułem jakiś dziwny, gorący prąd, który przepłynął mi z mózgu do serca, a jednocześnie nieznane mi i niezrozumiałe wówczas uczucie pożądania zmusiło mnie do opuszczenia oczu do ziemi. Miałem wrażenie, jakgdybym popełnił przestępstwo. Od tego czasu postać Emilji prześladowała mnie wszędzie, gdziekolwiekbym był, a skoro znalazłem się gdzieś sam, to mogłem godzinami szeptać do siebie jej imię. Uczucie to królowało we mnie, aż do osiemnastego roku życia i ulegało najprzeróżniejszym fazom“.

Alfred de Musset zapałał miłością, jako czteroletni smarkacz, do swej kuzynki, jak również i Napoleon, który w tym samym wieku rozpoczął swe podboje miłosne, zakochując się bez pamięci w towarzyszce zabaw dziecinnych z Ajaccio, Giacominecie. Ułożono nawet piosenkę z następującym refrenem:

Napoleone di mezza calzetta
Fa l'amore a Giacominetta!

Następne uczucie ofiarował szesnastoletniej Karolinie du Colombier. Pisząc pamiętniki na wyspie św. Heleny, tak wspominał tę swą dziecinną miłostkę: „Naznaczaliśmy sobie często potajemne schadzki... I niktby może nie uwierzył, że nasza cała radość polegała tylko na wspólnem jedzeniu wiśni“.

Pierwsza miłość kompozytora francuskiego Berlioza sięga jego dwunastego roku życia. Zakochał się on w osiemnastoletniej Estelli Fornier. Miłość ta była nieszczęśliwa, o czem zresztą sam Berlioz pisał w liście do swego przyjaciela: „Skoro ją ujrzałem, poczułem jakby uderzenie pioruna; kochałem ją więcej, aniżeli samego siebie. Jednakże niczego nie mogłem się spodziewać. Nie miałem żadnej nadziei, jedyni wielki ból w sercu. Całemi nocami rozpaczałem. W dzień tłukłem się po polach i lasach, jak zbłąkany ptak, głuchy na całe otoczenie; zazdrość toczyła mi mózg, a wyobraźnia nasuwała najbardziej męczące obrazy. Nikt w domu, ani z sąsiedztwa nie przypuszczał, że biedny, dwunastoletni chłopiec, znosi cierpienia ponad swoje siły“. Owa pierwsza miłość Berlioza miała przemożny wpływ na całą jego twórczość. Wszystkie prawie jego kompozycje dźwięczą ekstatycznemi i prawie że rewolucyjnemi przeżyciami.

LEOPOLD MARSZAK:

„Zakazane" dzielnice Warszawy

NA KERCELAKU.

Myliłby się ten, ktoby sądził, że Warszawa — to tylko jedno wielkie miasto, pogodne, kipiące życiem, miasto karwiarń, dancingów i... wysmukłych kobiet, dumne z przydomka, który mu kiedyś nadano: „Paryża Północy". Trafniej brzmiałoby wprawdzie, określenie „Pół-Paryż w nocy", ale nie zmieni to faktu, że Warszawa—to właściwie kilka miast i miasteczek, stanowiących wprawdzie terenową i organiczną całość, tem niemniej żyjących swojem odrębnem, a ciekawem życiem.

To też, choć wielu obywateli zwykło u nas mawiać chełpliwie „znam Warszawę, jak własną kieszeń" (z czego nie wynika bynajmniej, że Warszawa jest, jak kieszeń, pusta!) — niewielki tylko odsetek zna ją naprawdę, zna ją na wylot!

Do kategorji wybitnych znawców naszego miasta zalicza się policjant, dorożkarz i... dziennikarz. Ten ostatni — prócz powierzchownej znajomości terenu powinien znać gruntownie *życie Warszawy*, we wszystkich jego wesołych i smutnych objawach, powinien z równą łatwością orjentować się w dzielnicy „reprezentacyjnej", jak w ubocznych zaułkach nędzy i występku, gdzie życie zupełnie innym toczy się torem.

Pragnę zaproponować wam, drodzy Czytelnicy, małą przechadzkę po tych „zakazanych dzielnicach". Pójdziemy tam razem, piechotą poprzez łamy „Siedmiu dni", uzbrojeni jedynie chęcią poznania nie „Paryża Północy", lecz smutnej, szarej, brudnej i ubogiej Warszawy. Przekonacie się, że nasza wędrówka warta będzie zachodu.

Attention, messicurs et mesdames! Ruszamy w drogę.

Na początek — idziemy przez Chłodną i Wolską na reprezentacyjny plac biedoty stołecznej, rendez vous paserów i amatorów cudzej własności, miejsce wszelkich możliwości handlu i okazyjnego kupna — plac Kercelego.

Jest sobota, dzień „targowy" godzina dwunasta w południe. Wzdłuż chodnika — ramię przy ramieniu krzykliwy naród przekupni i przekupek przy koszykach i walizkach z pięknie rozchwalanym, różnorodnym towarem. Nad jakimś stoiskiem — tryumfalnie zatknięty patyk z szyldem:

Egzystó je od rok 1890 Gurnyślonsk kamień ostszy każdą bżytew! Tu kópić!



Kanarki, kosy, szpaki, ba, nawet papugi — całą pierzastą menażerję nabyć można na Kercelaku. (fot. Sitkowski).



Patryarcha wśród zelówkarzy.



„Wykwintne" obuwie — niżej konkurencji. (fot. Sitkowski).

Przechodzień czyta uważnie napis, dochodzi do wniosku, że Górny Śląsk egzystuje zaledwie od 1890 roku i mija obojętnie kamienie, bowiem bardziej od szyldu nęcą go okrzyki — chór, który tu rozlega się od wczesnego ranka.

— Oj, oj, oj, panowie! Co to jest, panowie? Krawaty, panowie, jedwabne, panowie, po złoty sztuka, po złoty sztuka!

— Do Broni, panowie i panie, do Broni! Sięgasz ręką do kieszeni, w której niema ani rewolweru, ani pieniędzy i oprzytomniawszy, patrzysz, co za przyczyna tak wojowniczego alarmu.

A bodaj cię! To opasła przekupka, Bronisława, dobrze znana wśród bywalców Kercelaka zwołuje klijentelę do „jedwabny szaliki, szelki i pończoch!"

Im dalej w plac, tem więcej krzyku: oto trubadur wędrowny oparł się melancholijnie o mur i skrzeczy:

„Ach nie odchodź ode mnie, pragnę twoją być, mały żygolo, nasza jest noc, ja ci nie dam zginąć marnie"...

Wsłuchujesz się tak długo w bek tego żywego nadpsutego gramofonu, dopóki bębenki nie będą miały dosyć. Stanie się to szybko, tem bardziej, że z boku donioslу głos zawiadamia:

— Wyjątkowa okazja, panowie, po pięćdziesiąt śliwki, po pięćdziesiąt!

— Do gruszek tu, do jabłek tu...

— Szczotki, miotełki, sznurowadła, szczotki...

I tak bez przerwy od rana do zmierzchu, i co tchu starczy w płucach, i co głosu w gardle drą się ci nieboracy, by utargować kilka złotych za nędzną tandetę od nędznych ludzi.

Właściwy „przemysł" zajmuje na Kercelaku poczesne miejsce — na środku placu. Stoją tam jedne obok drugich w ciasnych rzędach kramy i kramiki, w których dostać można dosłownie wszystko, począwszy od kalafiora, a skończzywszy na używanej taksówce. Wystarczy pokazać się między straganami:

— Co pan hrabia uważa? Mam spodnie modne w kratkę, w sam raz dla księcia! Może kapelusz, a może futro dziedzic kupi? Mam okazyjne, tanio sprzedam...

Wejdźmy z ciekawości do ciemnego składziku.

— Futro? (Handlarz zniża głos). Mam nowe barany, ale mam i prawdziwe cybety...

Wędruje się za kupcem wgłąb sklepu, gdzie wyciąga, niewiadomo skąd futro, które zachowało jeszcze ślady dawnej świetności. Instynktownie wyczuwa się, że futro jest jeszcze „ciepłe", że może wczoraj jeszcze zerwano je ukradkiem z kołka.

Bez wątpienia — Kercelak jest uniwersalny: moglibyście tam przyjść w kostjumie kąpielowym, a wyjechać we fraku na rowerze. Te ostatnie są reprezentowane tu nader licznie, czem tłomaczą się tak mnogie ostatnio wypadki uprowadzania tych stalowych rumaków z ulic i z przed bram przez „niewykrytych sprawców". Zresztą, czy tylko rowery sprzedaje Kercelak?

Mój Boże! A przybory sportowe, akcesorja samochodowe, akumulatory, magneta, opony, benzynę, budziki, branzoletki i pierścionki?

Pełno ich tutaj, bowiem ten rodzaj towaru oddawany za bezcen, zawsze nabywców znajdzie.

Mimo chaosu, który na placu panuje — handel podzielony jest na „organizacje", które ściśle pilnują swoich interesów i nie wchodzą jedne drugim w paradę. Każda ma swój teren działania, swoich dostawców, no i swoją stałą klijentelę.

Między działami handlu w tym wielkim domu towarowym pod gołem niebem — najoryginalniej przedstawia się „ptaszarnia".

I, o dziwo! Choć nie jest to towar pierwszej potrzeby, choć kanarek jaj do omletu nie znosi, a mięso papugi nie da się przerobić na gęś — skrzydlate społeczeństwo znajduje amatorów. Babina przystanie, na gołąbki tkliwie popatrzy, usłyszy trele kanarka, a już z supełka ostatnie grosze wytrząsa i zbliża się do „ptasznika".

— Panie, a ten żółty to nie farbowany?

— Paniusieczka może się przekonać! Kanareczek czyściutki, jak złoto, osobiście z gór *Harczu* przyleciał!

Paniusieczka targuje i kupi, paniusieczka, jak zresztą tysiące takich paniusieczek warszawskich, nie serce i Bożą ptaszynę kochających. Nieco dla innych powodów targuje się obok zawzięcie jakiś zdecydowany młodzieniec — o papugę, która olśniła słuchaczy swoją erudycją, wymawiając bez błędu dwa przemiłe słowa „stara małpa!"

— Isz ty! — dziwuje się jakiś starszy robotnik. — Cwany ptak! Na teściowę musi tresowany!

Słysząc to młodzieniec już się nie targuje, ale płaci i z triumfem zabiera klatkę, z której w tej chwili pada istny grad „starych małp" i... jeszcze czego!

Przewala się tłum przez plac Kercelego. Tłum ponury, milczący, nieufny. Między nim tu i owdzie — buchnie pijacka piosenka, przekleństwo brukowe o ściany straganów się obije, nóż błyśnie, pięść się wzniesie. O, bo Kercelak jest nietylko miejscem handlu; tu od czasu do czasu, a specjalnie w sobotnie popołudnia załatwiają między sobą „porachunki" rycerze księżyca.

A gdy zmrok zapada — skoczne dźwięki harmonji odzywają się tu i ówdzie na placu. Z otwartych drzwi szynkowni bucha zgiełk pijacki, wędrowni kramarze szybko znikają wraz z ciężko zarobionym groszem. Plac Kercelego zostaje „pod gazem" i pod opieką policji, która przecież nie może być wszędzie.

Harmonja zawodzi gdzieś żałośnie, a na placu — harcują już koty i psy bezdomne, walcząc z żebrakami o kość, czy ochłap mięsa już rzucony na ziemię...

Chodźmy stąd...

Wesoła Warszawa przecież tak niedaleko..

WŁODZIMIERZ POPŁAWSKI.

HAWAJSKIE GITARY

„Linijka" podrygiwała, niby znarowiona szkapa.

To wlekli się ospale pod jakąś złośliwą górę, aby po chwili gnać z niej na zbicie pyska, aż zęby: dzyń, dzyń, dzyń...

Skrzypiące koła przez burą ,gliniastą ziemię, Jak masło.

I nagle: hop — korzeń, hop — kamień.

Pruły z pluskotem bezbarwne szmaty kałuż i ciągle naprzód, naprzód, obojętne a wytrwałe.

Stefan czuje się jak rozbitek. Resztkami sił trzymał się wąskiej, od deszczu oślizgłej deski.

Na przodzie — kanciasty, wielki kadłub furmana.

Siedział niby w wygodnym fotelu, od czasu do czasu melancholijnie strzepując „wyłysiałym" batem.

Siąpał deszcz.

Przykrył wszystko burą błoną bezustannej padaniny.

Bure były pola, bure krzaki i ziemia tłamsiona końskiemi kopytami, i szkapa, i furman...

Zdala tylko sina zagroda — bór!

— Daleko jeszcze do leśniczówki?

— A ot, tam, panoczku...

Bat wskazał na leśną smugę.

Stefan szczelniej otulił się płaszczem.

Długie, męczące godziny w przedziwnie ospałym pociągu, a potem prawie bezsenna noc w odrapanym kojcu prowincjonalnego hoteliku.

Oka nie mógł zmrużyć. Robactwo.

Z dołu darł się hałas „ucztujących" oficerów, więc ubrał się i — uciekł do restauracji.

Pił z tymi poczciwymi wojakami, którym nuda prowincjonalnego garnizonu nerwy na supełki zawiązywała, aż do świtania.

Ledwie zasnął — budzi zamówiony na 6-tą rano furman.

Trzepnął w niego butem i — spał dalej.

Zamiast o 6-tej rano, wyjechał o 1-ej w południe, klnąc na czem świat stoi.

Stracił cały dzień.

A w Warszawie — Hela.

Smukła, zgrabna sylwetka, świetnie modelowane, długie, mocne nogi, piersi podlotka i usta ,któreby chciało się całować stale, bez wytchnienia.

Hela, której nie potrafił odmówić niczego...

*

W niespełna trzy godziny wszystko było załatwione.

Obejrzał wyrąb, sprawdził wielkie, symetrycznie ułożone sągi drzewa. Obliczył.

Porządek idealny.

Pochwalił Grzelaka.

Chłop, mało w rękę nie cmoknął z radości. Zawszeć ten „pan z miasta", to nie byle kto, prawa ręka szefa.

Wystarczy jedno nieprzychylne słówko i — hajda na grzybki z babą i dzieciakami.

A zagospodarowali się niezgorzej.

Daleko od ludzi, bo daleko, ale — co tam ludzie...

Był bór. Szumiał od rana do rana wielkiem, potężnem graniem śmigłych chojarów, szeleścił tajemnie jakiemiś opowieściami rozłożystych paproci, dumał senną powagą mchów.

Bór.

Stefan chciał wracać jeszcze przed wieczorem. Grzelakowie nie puścili. Zawszeć u nich wygodniej, niż w żydowskim hoteliku.

Zresztą — miło tu było.

Aż pachniało żywicą i czystością. Żadnych zbytecznych ozdóbek, przemyślnych firaneczek, szkaradnych landszaftów, cacanych mebelków. Żadnych denerwujących figli-migli.

Wieczorem — biały prostokąt stołu. Naftowa lampa z białym kloszem, w różowo-błękitne bukieciki, opasły, zadyszany samowar, pękata butelka z ciemno-zielonego szkła, chleb i twarze...

Brunatna, cudacznie posiekana, roześmianemi ślepiami zdobiona — Grzelaka.

Pulchna, okrąglutka, jak kościelnego aniołka — Grzelakowej.

Lisi, krostowaty pysk sierżanta KOP'u, który w leśniczówce „urzędował".

Granica była o pół kilometra, za strumieniem leśnym.

I wreszcie — twarz nijaka...

Trudno było doszukać się w niej czegoś szczególnego, chyba wargi: górna, wąska jak nitka, dolna wielka, szeroka, opadająca, niby warga kafra i drżąca bezustannie, ledwie dostrzegalnym, nerwowym chybotem.

A jednak — właśnie ta twarz...

Coś w niej było takiego, że nawet wtedy, kiedy Stefan odrywał wzrok i patrzał w inną stronę, mimowoli musiał wracać znów do tych wyblakło-niebieskich źrenic i komicznie rozchybotanej wargi.

Był to kuzyn Grzelakowej, nauczyciel szkoły powszechnej z jakiegoś poleskiego, w błotach utopionego miasteczka.

Suchotnik.

Lekarz orzekł, że jeśli nie wyjedzie do suchej, lesistej miejscowości — djabli wezmą kurtz-galopem.

Więc przyjechał tu i siedział mrukliwy, niedostępny, skory do złośliwych przycinków, mędrkowania i chlania wódy...

Tak go przynajmniej określał Grzelak...

Pili teraz mocną, sośniną pachnącą nalewkę, jedli wielkie pajdy chleba z suchą, jak skóra, kiełbasą, pachnący wrzątek herbaty parzył wargi... Grzelakowa wypytywała o warszawskie życie, mąż dyskretnie napomykał o awansie, podwyżce, sierżant bajał o trudach służby granicznej, a Stefan ciągnął wódkę na przemian z herbatą i — słuchał.

Czuł, jak po żyłach rozlewa się gorący strumień, jest coraz cieplej, a jednocześnie lżej, tak jakby człowiek był z opłatka...

Tylko nogi djabelnie ciążą

Samowar prycha komicznie, w takt drga duża, obwisła warga nauczyciela, roskosznie pachną kolorowe bukieciki na białym kloszu lampy...

— Pan dyrektor będzie spał z moim kuzynem, o tu — na kanapie, a ty, Wacuś, zrobisz sobie spanie tam, pod ścianą...—szemrze gdzieś z bardzo daleka głos Grzelakowej.

— Czy tylko będzie panu dyrektorowi wygodnie, — martwi się poczciwie Grzelak.

Stefan uśmiecha się.

— Ależ cudownie, dobranoc państwu, dobranoc...

Jakie te nogi ciężkie. A jednocześnie—miękkie, jak z bibuły, gną się.

Głowa ciąży.

Dobrnął do kanapy i opadł.

Nauczyciel przy stole. Jak przez różowy woal Stefan widzi złożone ramiona i kosmaty, płowy wzgórek na nich; to głowa. Od czasu do czasu wysuwa się ręka, ujmuję szklankę, podsuwa pod samowar, napełnia herbatą i—niesie do ust.

— Pan wraca do Warszawy?

Nauczyciel.

Głowy nie podnosił, a głos ledwie tli, jakby gdzieś z głębokiej jamy.

— Wracam.

— A po co?

— Jak to po co? Do pracy, tam mieszkam, tam...

— Eee... — przerwał prawie impertynencko.

Stefan wstrząsnął głową, zamknął na chwilę i znów otworzył oczy. Zdawało mu się, że śpi...

— A właściwie...

Nauczyciel uniósł głowę, podparł ją żerdziami ramion i patrzał gdzieś w przestrzeń.

— Pan pewnie myśli, że ja pijany...

— Broń Boże.

— No, a jak ja nawet pijany, to co? Pan wie, co dzisiaj wart człowiek bez wódki? Guzik, phi, guziczek... Ale niech pan posłucha.

Stefanowi było coraz cieplej, nęciła czysto zasłana kanapa, przed oczyma dyskretnie falowała różowiutka mgiełka i kusząca świadomość, że gdyby tak teraz przyłożył głowę do poduszki....

— Słucham, słucham...

Nawet nie orjentował się, czego właściwie ma słuchać.

— Widzi pan, ja to od małości przepadałem za geografją...

— „Urżnął się facet", przewlokło się przez mózg Stefana.

— Największą frajdą dla mnie — gadał dalej bezbarwnym, zlekka zachrypniętym głosem — to było czytanie o dalekich, egzotycznych krajach, gdzie to, panie, można chodzić cały rok bez palta, bo zawsze grzeje słońce, jest swoboda, rosną palmy... Pan mnie rozumie?

Stefan kiwnął potakująco głową.

Nie rozumiał nic, a wogóle — chciał spać.

— Kiedyś, ja byłem wtedy jeszcze szczeniakiem, przyjechała do miasta trupa, podobno hawajczyków. Starzy mieli sklepik, to im buchnąłem z kasy trochę kopiejek i poszedłem na to przedstawienie.

Patrzyłem na Hawajczyków, jak w obrazek. Mieli takie jakieś śmieszne bębenki, małe mandolinki, niby te ich gitary hawajskie i grali tak ślicznie, żem przyszedł do domu, jak pijany.

Nic mnie wtedy nie obchodziły wrzaski starego, płacz matki, nie czułem nawet, jak mnie stary lał paskiem po gołym tyłku, w uszach mi tylko delikatnie brzęczała melodja ślicznych piosenek żółtawo-brunatnych ludzi, z dalekich wysp.

I wtedy to powiedziałem sobie, że jak tylko dorosnę, muszę wyjechać na Hawaje.

Powiadam panu, poprostu dostałem bzika na tym punkcie.

We łbie stale kołowały jakieś nadzwyczajne przygody, jakieś cuda...

Jak tylko wybuchła wojna, zaraz poszedłem do wojska. Myślałem, że w ten sposób łatwiej mi będzie dostać się na dalekie wyspy. Bo, widzisz pan, im byłem starszy, im więcej widziałem i rozumiałem, tem bardziej rosła we mnie chęć oderwania się od tego wszystkiego, co mnie dotychczas otaczało. Jak na złość, całą prawie wojnę przesiedziałem omal na jednym odcinku, albo w szpitalu.

Innych ganiało po szerokim świecie, mnie— ani, ani.

Jak się uspokoiło, wróciłem do miasta...

Stefan zaczął słuchać uważniej.

— Starzy już dawno „odkręcili", ale że podczas wojny robili jakieś machlojki z żywnością, została kupa grosza u rejenta, dom, sklep...

Jedno i drugie sprzedałem od ręki, za psie pieniądze, gotówkę także odebrałem i hajda w świat!!!

Pan tego nie zrozumiesz, to trzeba samemu przeżyć. Samemu trzeba po raz pierwszy wsiadać do długiego, wygodnego wagonu, który pana przewiezie przez trzy czy cztery granice. Samemu trzeba wczuć się w kołys rozpędzonego pociągu, w czarodziejskie obrazki migającego za oknami życia, trzeba przeżyć tę najwspanialszą świadomość, że niema siły, któraby mnie mogła zatrzymać, bo w mojej kieszeni są

pieniądze, rozumie pan: *pieniądze*. A potem okręty. Wrzask, rumor, dużo słońca, albo dużo deszczu, ludzie, objuczeni skrzyniami, workami, walizami, ludzie-zwierzęta, nędzarze, gotowi za parę groszy, za skrawek psiego życia wieżę Eiffla przenieść panu na barkach. A pan nic, pan tego nie widzisz, pan stale i stale gna naprzód, zostawia za sobą wszystko, co zobaczył, szuka nowości .

I napróżno.

Jak panu będą opowiadali o cudach dalekich, egzotycznych miast, bij pan w mordę. Wszędzie znajdzie pan dancingi, wszędzie drą się do pana, jak opętane, szkaradnie wylizane buziuchny filmowych zdzir, wszędzie jest jazz, reklama Schicht'a i smrodzą rozdygotane Fordy, a skrzypią wysłużone gramofony...

Zamilkł na chwilę, automatycznym ruchem ujął szklankę, ale zamiast pod kranik samowaru, przysunął do ciemno-zielonej butelki, nalał po brzegi i... wypił.

Na zielonawo-bladej twarzy zagrało kilka ceglastych plamek.

— Powiadam — niech pan bije w mordę. Bo widzi pan, ja przejechałem cały świat. Zabrakło mi pieniędzy, to żebrałem, kradłem, wreszcie pracowałem, a jednocześnie stale darłem się naprzód i naprzód. Stale szukałem ludzi, tych dobrych, prawdziwych, tych ludzi, którzy nie dotknęli się jeszcze naszego cynizmu, naszej podłości, naszego zbydlęcenia.

Eee... w Honolulu hawajskich gitar nie znajdzie pan na lekarstwo, zato olśnią pana saksofonami, pianinami, patefonami „Columbia". Iluś-tam lampowe radjo ryknie z Genewy pacyfistycznym odczytem zatwardziałego sołdata. Szerokie ulice, asfalt, sklepy, tramwaje elektryczne, neonowe reklamy, pudrowane prostytutki, 80-konne samochody i elektryczne maszynki do golenia.

Po co, na co?

Próbowałem zaszyć się gdzieś w głąb kraju, zdala od wielkich miast. Czytał pan napewno bzdury jakiegoś autora, roztkliwiającego się nad sielanką krajowców.

Blaga, ordynarna bujda. Wódę golą wszędzie, jak anioły, noszą szelki zamiast portek, a dziewczyny na białych czekają, jak żydzi na mannę. —

Znów wlał w siebie szklankę wódki. Głowa mu zsunęła się z rąk, opadła na stół, zaślinione wargi poczęły coś mamrotać.

— Poco... ttto... widziszszsz... pan, wszystko dla dddobra... cccyyywilizacjjjiii...

*

Uniósł głowę, nerwowo przecierając piekące oczy.

Stał nad nim sierżant, obok Grzelak, zapłakana Grzelakowa.

Zorjentował się, że zasnął, zamiast na wygodnie posłanej kanapie — przy stole. Na zaplamionej serwecie stał mosiężny samowar, obok leżała pusta ciemno-zielona butelka.

— Co się stało? — zapytał niepewnie, zerkając na sierżanta.

— Uciekł nauczyciel...

Pobiegł wzrokiem ku ścianie. Posłanie nieruszone.

— Jakto uciekł?

— No, zwyczajnie, uciekł, zostawił tę karteczkę... — podał Stefanowi skrawek papieru.

„Pluję na waszą cywilizację, niema już hawajskich gitar, niema nic, jest tylko wielka bujda i rozpanoszona ludzka swołocz".

Przeczytał jeszcze raz i dopiero teraz przypomniała mu się cała rozmowa. Cała spowiedź suchotnika.

— A dokąd uciekł?

— Pewnie do Sowietów, tam przynajmniej prowadzą ślady.

— No, to trzeba szukać — rzucił niecierpliwie Stefan — na co właściwie czekacie?

— No, bo, bo myśleliśmy, że może pan dyrektor coś wie... — tłumaczył się nieporadnie Grzelak.

— Nic nie wiem, gadał tu różne głupstwa do późnej nocy. To chory człowiek, nie powinniście mu dawać wódki...

— A zawsze ci mówiłam, Tomek... — gderała Grzelakowa — napewno już go zabili bolszewiki.

— Et, gadanie... — oburzył się sierżant.

— Niech pan zaprzęgnie linijkę, poszukamy go, — zarządził Stefan, poprawiając zmięte ubranie.

Stefan usadowił się na „linijce" między Grzelakiem a sierżantem i bezmyślnie obserwował starannie wypucowane, odrobinę tylko zabłocone, buty podoficerskie.

Szkapa wlokła się leniwie, sennie skrzypiały koła.

Dojechali do granicznego strumienia.

W burym potoku deszczowego poranku, majaczył jakiś kształt.

Sierżant zeskoczył i podbiegł.

— Oho, bakałarz... — rozniosło zdziwieniem echo leśne.

Pobiegł i Stefan, i Grzelak.

Siedział na brzegu, w błocie, łokciami oparty o brzuch, dłońmi podtrzymując gołą głowę. Nogi mokły w wodzie.

Sierżant potrząsnął nim mocno.

— E, bakałarz, gdzieście byli, co?

Wolno podniósł ciężkie, workowate powieki. Oczy miał tak bezbarwne, jak to deszczowe świtanie.

— Tam, — wskazał wzrokiem na przeciwną stronę strumienia, — ale... i tam pada deszcz, i tu pada deszcz... wszędzie pada deszcz...

Był pijany, jak to mówią, „na perłowo".



Żeńskie drużyny reprezentacyjne Japonji i Polski na zawodach w Warszawie. *(fot. Sitkowski.)*

Co słychać na świecie

Sąsiedzi nasi zakończyli wybory. Wyniki przedstawiają się jak następuje: socjaliści — 143 mandaty, niemiecko - narodowi ludowcy—41, centrum—68, komuniści — 76, ludowcy — 29, partja państwowa — 20, partja gospodarcza — 23, bawarscy ludowcy — 19, hitlerowcy — 107, landsvolk — 19, niemiecka partja chłopska — 6, landsbund — 3, konserwatyści — 5, partja chrześcijańsko - narodowa — 4.

Znamiennym dla nas szczegółem było to, iż na 76.438 głosów mniejszości narodowych (które mandatu nie otrzymały) lista polska we wszystkich okręgach wyborczych uzyskała przeszło 70.000 głosów, przyczem stwierdzono znaczny przyrost zainteresowania się wyborami na Górnym Śląsku (7.000 gł. na 37.100 oddanych na listę polską).

Innym, nie mniej nas obchodzącym szczegółem jest wzrost mandatów komunistycznych, smutnie świadczący o tem, iż międzynarodówka nie zasypia i że pieniądze moskiewskie (których znaczne sumy pod różnemi pretekstami przekazano do Niemiec) potrafią pociągnąć masy (4.587.708 gł. na ogólną liczbę 39.943.460).

Jeszcze inne spostrzeżenie dotyczy naszego przyjaciela Treviranusa, popularnie zwanego „Trevisem". Oto okazuje się, że mimo, iż znikoma tylko garstka konserwatystów stanęła do wyborów—niektóre hasel szerzonych przez nich, a zwłaszcza w dziedzinie polityki zagranicznej cieszą się ogólnem powodzeniem wśród mas narodu niemieckiego. Idea odwetu — powtarzamy to po raz nie wiem który i powtarzać wciąż będziemy — jest mostem łączącym wszystkie niemal stronnictwa między sobą, gdyż nawet — o dziwo—i komuniści przyczyniają się do rozkwitu tej myśli, wytężając wszystkie swe siły w kierunku obalenia traktatu wersalskiego i planu Younga (w myśl przykazań z Moskwy).



Czteroletnia córeczka bohatera transatlantyckiego, Bellonte postanowiła za przykładem swego dzielnego tatusia dokonać również wiekopomnego wyczynu na własnej konstrukcji aparacie, z słuchawkami radjowemi na uszach i z nawigatorem — słoniem Billy wybiera się w podróż.

O ile jednak przewodnią myślą wewnętrznej polityki germańskiej jest zblokowanie wszystkich elementów burżuazyjnych — umiarkowanych — w walce przeciw rozsadzającym (i rujnującym zasoby finansowe) socjal - demokratom, przyznać należy, iż ogólny wynik wyborów pozostawia z punktu widzenia niemieckiego wiele do życzenia. Bo cóż z tego, że w niektórych okręgach socjal - demokraci ponieśli znaczne straty — nie mniej jednak stanowią najpoważniejszą grupę, drugimi zaś po nich są hittlerowcy, będący doprawdy nieobliczalnym elementem, czyniącym aż nadto wrzawy w całym kraju.

Nacjonaliści załamują ręce. Jedyną ich ostoją jest marszałek Hindenburg, w którego rękach, jak twierdzą, leży ostateczna decyzja.

A no — zobaczymy, jak też sobie poradzi bożyszcze narodu niemieckiego, jaki zechce nadać kierunek po owej „czarnej niedzieli" woli ludu...

*

Powracając jeszcze do sprawy wyborów niemieckich zanotujemy na marginesie zabawny (acz makabryczny) szczegół, oto bowiem do agitacji wciągnięte zostały nawet duchy zmarłych — Bismarcka, nawołującego do głosowania na partję gospodarczą Stressemanna — na własną partję znajdującą się „pod dowództwem" nowo upieczonego polityka, lecz starego żołnierza — generała von Seckta.

Cudowne zestawienie: Bismarcka i ducha pracy gospodarczej, Stressemanna — lokarnisty i spowitego w barwy Hohenzollernów generała, ziejącego „furor teutonicus", generała von Seckta.



Dokonano wyboru władz Państw. Szkoły Muzycznej w Warszawie. Rektorem wybrany został prof. K. Szymanowski, prorektorem — prof. Zbigniew Drzewiecki.

O ile zwykliśmy mówić o pewnych zjawiskach „z nieprawdziwego zdarzenia", iż mogły mieć miejsce tylko w Ameryce, o tyle i Niemcy są ojczyzną rzeczy „jak z bajki"...

✻

W schorowanem ciele staruszki Europy (czy Paneuropy, jak ją nazywają zwolennicy odmłodzenia) wykryto nowe ognisko zapalne — leżące na pograniczu italsko - jugosłowiańskiem. Świadkowie wypadków, rozgrywających się od pewnego czasu w tej okolicy są zdania, iż najmniejsze „faux - pas" ze strony Białogrodu lub Rzymu może wywołać ogólną zawieruchę.

Czy tu, czy gdzieindziej — czy nie wszystko jedno?

Coraz głośniej dają się słyszeć opinje natchnione głębokim pesymizmem, co do dalszych losów pokoju. Bo im więcej mówi się o nim, tem groźniejsze chmury nawisają na horyzoncie...

I przypomina mi się pewne zdarzenie z pierwszych czasów rewolucji rosyjskiej. Oto na placu przed tłumem ludzi peroruje młody inteligent, semickiego pochodzenia. Krzyczy, zachłystuje się... I jego nareszcie, syna ciemiężonego narodu dopuścili do głosu... Aż wtem słyszę tuż obok siebie pełną zadumy refleksję: „Gałditie, nie gałditie — a pogrom budiet" (gadajcie sobie co chcecie — a pogrom jednak będzie).

Oby tylko ten pogrom, który szykuje za ślepieńcy, wierzący w trwałość pokoju i propagujący powszechne rozbrojenie, nie przygotował — jak ostrzega Poincaré — na ruinach niezawisłości ludów wolnych — nowych, strasznych hegemonji...

✻

O drożyźnie panującej w Sowietach świadczą ceny artykułów pierwszej potrzeby: 1 kg. mięsa — 75 kop. w kooperatywach, 6 razy tyle w wolnym handlu. Masło — 3 ruble i 18 rub. Słoninę można nabyć tylko w wolnym handlu — 16 do 17 rub. za 1 kg. Obuwie — 100 rubli.

✻

Na naszych Kresach Wschodnich — we Wschodniej Małopolsce czerwony kur szaleje bez przerwy. W ubiegłym tygodniu zanotowano kilkadziesiąt wypadków podpalenia folwarków lub stert na polu. Usiłowano również przerwać w kilku miejscach komunikację telegraficzną i telefoniczną. W dniu 15 b. m. policja Lwowska wpadła na ślad zamachu planowego na panoramę racławicką i na pawilon sztuki na placu targowym we Lwowie.

Najwyższy czas przedsięwziąć energiczniejsze kroki przeciw niepoczytalnym wichszeniom pewnych kół ruskich.

Er.



Nowy model balonu obserwacyjnego po raz pierwszy wprowadzony podczas manewrów w Anglji.





Widok wiecu „Centrolewu", odbytego w ubiegłą niedzielę w Dolinie Szwajcarskiej. U góry przemawia sędziwy senator Limanowski.

DR. ROMAN CIECHANOW.

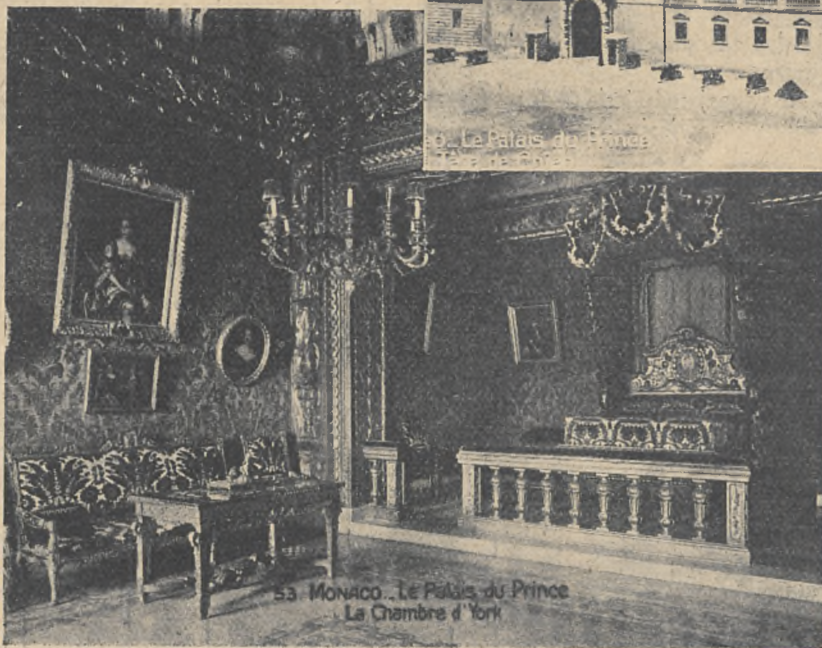
Najmniejsza stolica — największą jaskinią gry

O ile San Marino i Andorra, lilipucie republiki europejskie nie mają najmniejszego politycznego znaczenia, Monaco mierzące zaledwie półtora kilometra kwadratowego powierzchni, ma siłę zbrojną, a jakże — kilkudziesięciu żołnierzy i około 80 policjantów świetnie wyćwiczonych, miało reprezentantów swoich na igrzyskach olimpijskich i jest nawet członkiem Ligi Narodów, a w roku 1914 wypowiedziało Niemcom wojnę. Choć nie wielkie jednak wrażenie wywołało w Niemczech pojawienie się latem 1914 roku dodatku nadzwyczajnego pism codziennych z wielkim nagłówkiem „*Monaco hat uns auch Krieg erklärt* — to jednak fakt pozostaje faktem.

✻

W roku 1856 Monaco było górską wioską o kilku domkach. Monte Carlo nie istniało jeszcze, a tam gdzie obecnie stoi Kasyno i i wielkie hotele, rozciągały się olbrzymie winnice. W roku 1850 można było otrzymać bezpłatnie tereny pod budowę i w tymże roku Franciszek Blanc, administrator kasyna w Hamburgu odkupił za 1.700.000 fr. koncesję na kasyno gry w księstwie Monaco, w którem nie było podówczas koleji; jedyną komunikacją były statki z oddalonej o kilka kilometrów Nicei. Franciszek Blanc umiejętnie zabrał się do rzeczy. Zachęcając do osiedlenia się w Monaco przez rozdawanie darmo ziemi w celach budowlanych, osiągnął wyniki, iż w 30 lat później grunta w Monaco i Monte Carlo były droższe niż na Placu Opery w Paryżu, a cena ich odpowiadała cenie placów na Wall Street w New York'u. Za datę hausse'y na place budowlane w Monte Carlo i Monaco należy uważać dzień otwarcia kasyna gry. Nazwa Monte Carlo jest wyrazem czci dla ówczas panującego księcia Karola III (1860 — 1889). Karol III pochodzący ze starego rodu Grimaldich, osiadłego tu od XI w., był człowiekiem nad wyraz dzielnym i w ciągu dziesięciu lat jego panowania państwo liczące kilkuset mieszkańców przekształciło się w jeden z najbardziej prosperujących krajów Europy.





Widok zewnętrzny i jedna z sal pałacu księcia w Monaco.

Obecnie panujący książę Ludwik II, którego imiona brzmią „Honoré, Charles, Antoine", jest generałem armji francuskiej. Brał on udział w wojnie światowej w randze pułkownika i został odznaczony za bohaterstwo legją honorową.

Spokrewnienie się rodu Grimaldich z domem Habsburgów nie leżało w interesie Francji, zwłaszcza w wiekach XIX-ym i XX-ym, książę więc, pragnąc zacieśnić więzy przyjaźni z Francją wydał swą córkę Charlottę (Charlotte Louise Julliete) za arystokratę francuskiego hr. de Polignac, nadając mu dekretem tytuł księcia Valentinois*).

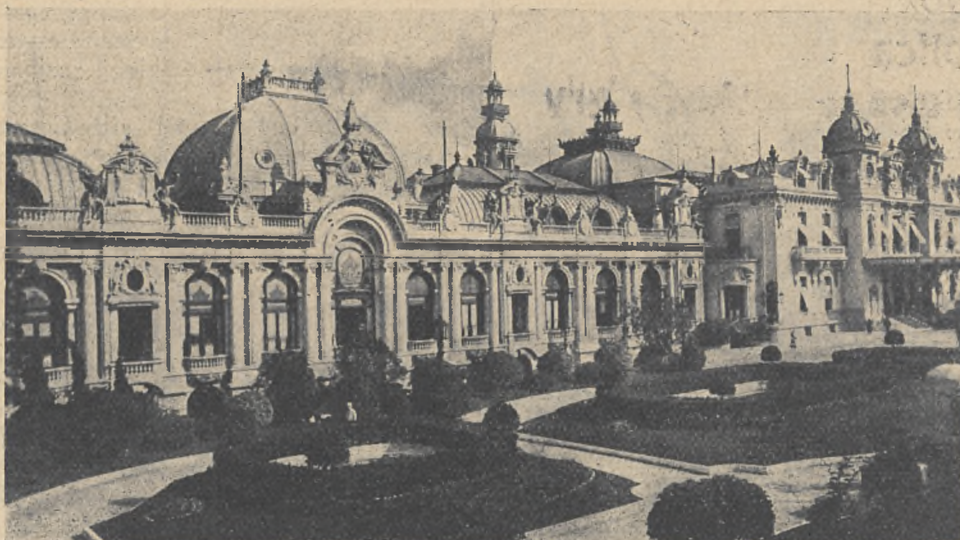
*) Sprawa dziedziczenia przez ks. de Valentinois uległa znacznym komplikacjom wskutek sprawy rozwodowej wszczętej ubiegłej zimy.

✻



Monte Carlo od strony morza.

Monte Carlo, jako największa jaskinia gry na świecie, zwróciła na siebie uwagę szerokich sfer społeczeństwa we Francji i w Italji. W roku 1878 zawiązało się w Paryżu stowarzyszenie pod nazwą: „*Association pour la suppression des jeux de Monaco*“ (Stowarzyszenie dążące do zniesienia gier w Monaco), drugi komitet zawiązany w Rzymie, zebrał 4.000 podpisów. Zaczęto interpelować w tej sprawie w parlamentach włoskim i francuskim. Rządy uważały jednak, że nie mają prawa ingerencji w sprawy wewnętrzne księstwa, zwłaszcza, że Kasyno gry, jakby dla ironji, nazywa się: *Societé des Bains de Mer* (Towarzystwo kąpieli morskich) i jest towarzystwem akcyjnym o kapitale wyłącznie prywatnym.



Fasada kasyna.

Stowarzyszenia dążące do zniesienia kasyna gry uważały grę za niemoralną. Duszą opozycji były tu sekty religijne anglo-protestanckie, których purytanizm nie mógł zrozumieć dlaczego rządy na polu międzynarodowym nie chcą przedsięwziąć akcji w celu zmuszenia księcia do zlikwidowania kasyna. Walka jednak przyniosła całkowitą klęskę purytanom: między rokiem 1870 — 1905 przez Monaco przejechało 19 miljonów podróżnych. Towarzystwa i organizacje, dążące do zniesienia kasyna gry, nieudolnie powoływały się na to, że gra jest hazardową, i że szans wygrania niema. Niektórzy twierdzą nawet, że krupierzy mogą z całą dokładnością przewidzieć rezultat gry, tak jednak nie jest.

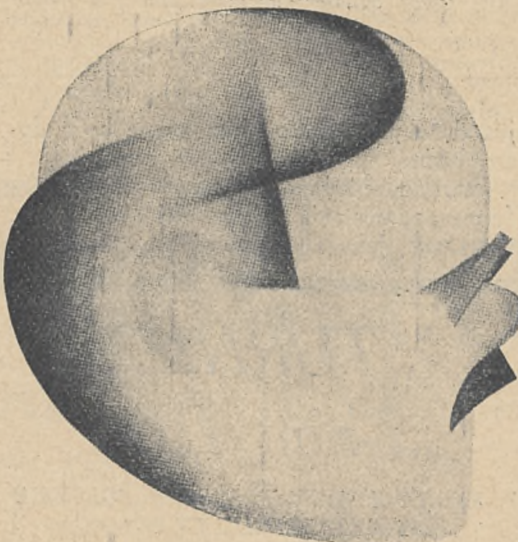
Przez przeszło 70 lat istnienia kasyna stwierdzono dwa, a najwyżej trzy wypadki nieuczciwości krupierów. Żadne sposoby mechaniczne ani fizyczne nie są zdolne odchylić biegu kulki na stole ruletki, a przed rozpoczęciem gry zapomocą libelli specjalna policja kasyna mierzy nachylenie stołów, po zamknięciu zaś gry, nakłada się na stoły pieczęcie.

Od wielu lat kasyno wydaje własne pismo, w którym w sposób naukowy rozpatruje wyniki gry. Gracze posługują się temi danemi, szukając sposobów zmniejszenia ryzyka do minimum. Wszystkie jednak systemy obszernie studjowane nietylko przez graczy, ale nawet przez wybitnych matematyków nie dały praktycznych rezultatów. Praktyka wykazała, że najczęściej ludzie nie znający zasady gry wygrywają olbrzymie sumy przez swój brak systematyki w obstawianiu numerów.

*

Istnieje tysiące legend, których bohaterowie wygrywali względnie tracili fantastyczne majątki, w molochu kasyna, w Monte Carlo. Prawda jednakże tkwi przeważnie tylko w opowiadaniach o zgrywaniu się do nitki nieszczęśliwych narkomanów hazardu.

Na palcach można wyliczyć tych, którzy wygrawszy większą sumę, potrafili ją zatrzymać w kieszeni. Machina bowiem gry oparta jest na psychologji natury ludzkiej, która niezna granic, jeżeli chodzi o chciwość.



Karykatura największego obecnego gracza André Citroena.



Sala gry w ruletę.

Ktoś, komu się udało wygrać sto tysięcy, grał dalej by wygrać dwieście. Topił wtedy w ruletce nietylko szczęśliwą wygraną, lecz wszystko co posiadał przedtem.

Niezbyt sympatycznem wspomnieniem w zarządzie kasyna cieszy się niejaki Jack Gansborough, z zawodu kelner z New Yorku, który przyjechał, jeszcze przed wojną, do Monte Carlo i w ciągu niespełna trzech dni wygrał 5 milj. franków. Wieczorem, trzeciego dnia, spakował manatki i wyjechał spowrotem do Ameryki, skąd nigdy już nie wyjechał do Europy. Jest on obecnie właścicielem pięknego majątku w Kalifornji. Jednakże takich bohaterów, którzyby potrafili się oprzeć demonowi gry jest niewielu. Przeważnie powracają na następny sezon do kasyna, by i tu w najlepszym razie, pozostawić tylko zeszłoroczną wygraną.

Pan Szmidt z Londynu wyjechał w roku 1908 na kontynent, by po dość długiej podróży zajrzeć do Monte. Nieomieszkał również zajrzeć do kasyna. Trudno. Pojechać do Rzymu i nie zobaczyć papieża, to byłby przecież wstyd przed znajomymi. Pierwszego wieczora wygrał drobną sumkę, która w zupełności zadowoliła jego nikłą, naówczas, żyłkę hazardu. Jednakże następnego dnia doszedł do przekonania, że może z całym spokojem zaryzykować wczorajszą wygraną. I tutaj rozpoczyna się pierwszy akt dramatu. Wygrywa około 1 i pół miljona franków. Powraca do hotelu, by po długich medytacjach zdecydować się na rozbicie banku. Przecież szczęście mu dopisuje. A takich, którzy rozbili bank było niewielu. Sława pewna. Od tej pory zaczyna regularnie przychodzić do kasyna, gdzie również regularnie przegrywa wszystkie posiadane pieniądze. Staje się pupilkiem krupierów. Ma stale rezerwowane miejsce pośrodku stołu. Wreszcie przegrywa wszystką gotówkę, jaką posiadał w banku, oraz rodzinne dobra w Anglji. Suma przegranej wynosi około 200.000 funtów. Akt ostatni — samobójstwo.

Najbardziej, popularnym graczem jest obecnie francuski król automobilowy Citroen. Jednakże stale prześladuje go pech. Tak samo słynne Dolly Sisters przyjeżdżają co roku do Monte Carlo, by wszystkie zarobione pieniądze stracić do ostatniego grosza. Jednakże one są o tyle w lepszem położeniu od innych, że posiadają wielu wielbicieli zawsze dają sobie radę.



JERZY LEWESTAM.

Jak poznałem Costes'a

(MASKOTA)

Ludzie, interesujący się lotnictwem, pamiętają zapewne, jak wielkie zainteresowanie publiczności wzbudził swego czasu przelot 2-ch słynnych asów lotnictwa francuskiego: Costes'a i Le Brix, przez Warszawę. Jak wiele osób odprowadzało ich na lotnisko, gdy startowali w dalszą drogę, jak o nich rozpisywały się dzienniki. Kto z pośród Czytelników, odprowadzających wówczas Francuzów (a nie wątpię, że niejeden z Was był na lotnisku owego pięknego, słonecznego dnia) myślał, że jeden z tych, już wtenczas nieposzlakowanie popularnych lotników, zrobi „wyczyn". przy którym gwiazda Lindbergha zblednie do koloru kredy.

Przelecieć Atlantyk! Łatwo to się mówi. Europa—Ameryka nad wodną pustynią. Impreza niewiarogodna, szalona, porywająca swym romantycznym rozmachem i siłą. Wiele było takich, którzy próbowali i ginęli. Polska też okryła się żałobą w tym bohaterskim turnieju narodów po tragicznej katastrofie majorów Idzikowskiego i Kubali, na skalistej wyspie Graciozie.

Costes przeleciał. Szczęście go nie opuściło. Lecz któż mógł o tem wiedzieć wówczas?

A jednak wiedziałem. Tak, nie chwaląc się, na przekór wrodzonej skromności i taktowi, twierdzę, że wiedziałem.

Jak to było — opowiem.

Gdy publiczność się czemś interesuje, to znaczy, że o tem „czemś", albo dziennikarze już dużo pisali, albo niezawodnie będą dużo pisać.

Starą, nieco już dziś może przestarzałą, formą zadawalania ciekawości publicznej, dotyczącej jakiejś popularnej osoby, jest wywiad. Wywiad dziś jeszcze posiada w sobie jakiegoś przekornego „cosia", który zajmuje czytelnika. Ma się wrażenie osobistej znajomości z rzeczoną znakomitością.

Gdy Costes i Le Brix zawitali do Warszawy robiłem z nimi wywiad.

Wywiad, na pozór podobny do innych, w którym, jak zazwyczaj, wziąłem ofiary na muszkę i zasypywałem gradem pytań.

„Co sądzą o dzisiejszem lotnictwie?" „Jak im się podoba Polska?" „Co mogą mi powiedzieć o swych wyczynach?"

Lotnicy pocili się, klęli zapewne w duchu i z niewzruszonym stoicyzmem odpowiadali.

Mówił Costes, gdyż Le Brix był człowiekiem bardzo milczącym. Działo się to w hallu hotelowym przy filiżance wonnej mokki.

— Jakie, panowie, projektują loty w przyszłości — zapytałem.

— Mojem marzeniem jest lot przez Atlantyk — odpowiedział Costes.

— Hm, przez Atlantyk.

Costes mówił. Opowiadał o tem, jak owa niezwyciężoność oceanu pociągać musi każdego lotnika. Jak gorąco pragnie polecieć i przelecieć. Jaki byłby to tryumf dla Francji.

Poprosiłem go o fotografję i autograf. Zgodził się chętnie.

— Mam do pana prośbę — powiedziałem, patrząc na jego energiczny, wyraźny podpis.

— Jaką? Jeśli wolno wiedzieć?

— Proszę o jeszcze jeden autograf?

— Poco? Przecie już się podpisałem.

— Tak, ale tamten będzie na dzień, w którym pan przeleci Atlantyk.

Autograf Coste'a.



Pani Mary Coste nieodrywała się od radja podczas przelotu swego męża przez Atlantyk, śledząc pilnie wszelkie wiadomości o swym bohaterskim małżonku.

TURNIEJ „7-miu DNI"

KTÓRA Z ARTYSTEK SCEN POLSKICH JEST NAJBARDZIEJ CZARUJĄCA?

WARUNKI TURNIEJU.

Podobizny artystek, będą kolejno umieszczane w naszem piśmie. Po ukończeniu turnieju, w dn. 6 września, artystka, uznana za najbardziej czarującą, otrzyma cenną nagrodę w postaci

BONU NA PORTRET

wybitnego portrecisty Jana Rudnickiego.

Trzy następne panie otrzymają cenne upominki, a wreszcie pomiędzy panami, którzy głosowali na artystkę, która otrzyma pierwszą nagrodę, rozlosowany zostanie portret.



Kto chce podziwiać prawdziwy czar i wdzięk niewieści niechaj pośpiesza do „Ananasa" by ujrzeć Lodę Niemirzankę.

Stanisław P.

Kupon Nr. 11 do turnieju „7 DNI"

Wyciąć i załączyć do fotografji.



Piosenka i czar, taniec i wdzięk oto cztery walory, przemawiające za cudną Mary Gabrielli.

„Zakochany".

— To się nazywa dziennikarska zapobiegawczość — zaśmiał się Costes.

— Trudno, człowiek jest tylko człowiekiem.

— Więc dobrze, ma pan mój podpis, traktuję go jako maskotę, lecz musi mi pan przyrzec, że gdy tylko przelecę, ogłosi pan naszą rozmowę i moją maskotę. Przyrzeka pan?

— Tak, przyrzekam.

— I proszę mi o tem przypomnieć koniecznie.

*

Przechowywałem autograf starannie.

Gdy w roku zeszłym Costes startował na swym „Znaku zapytania", w tym samym dniu, co i nasi lotnicy, patrzyłem z niepokojem na małą kartkę papieru, „Maskotę" bohaterskiego lotnika. Pragnąłem, by przeleciał, choć w parę minut po Polakach.

Zawrócili z drogi.

Znów starannie schowałem do biurka autograf Costes'a.

Nagle teraz, radjo całego świata podało radosną wieść:

Lotnicy francuscy, Costes i Bellonte, na samolocie „Znak Zapytania" przelecieli z Francji do New-Yorku, zdobywając błękitną wstęgę Atlantyku.

Wyjąłem autograf, który obecnie ogłaszam, a do Costes'a posłałem depeszę:

Maskota ujrzała światło dzienne. Gratuluję.

BEGUIN — POSTE RESTANTE

Mam kolegę. Na imię mu Kazimierz. Na adres: Bèguin - Poste - restante. Przynajmniej — w tej chwili.

Kazio ma nieszkodliwą manję: Co tydzień podaje do któregoś z pism ogłoszenie pod rubryką „różne" lub „towarzyskie". Czyni to już od roku — jak dotąd z wielkim pożytkiem dla państwa. Albowiem na każde ogłoszenie otrzymuje od 30 — 80 odpowiedzi, no a wiadomo... poczta także musi żyć.

Jak dotąd, Kazio nie znalazł odpowiedniej „towarzyszki kulturalnej i z temperamentem", czy też „pani o nowoczesnych poglądach". Natomiast materjał listowy oceniany w skali I — 100 dał mnie — jego przyjacielowi wiele doświadczenia i parę „roskosznych momentów". No i temat do napisania niniejszego feljetonu.

Więc czegóż w tych listach niema: Od potwornych kulfonów, do pięknej kaligrafji, od brudnych świstków do luksusowego welinu, od „perwersiatości" dziewiętnastoletniej pensjonarki, która pisze, że „chciałaby razem przeżywać dreszcze niesamowitych roskoszy", do szczerości „damy z towarzystwa" gotowej na wszystko, wzamian za nowy kapelusz i kilka par pończoch.

Jeżeli w ofercie kobieta pisze, że jest bardzo młoda, to ma lat trzydzieści z górą. Jeszcze lub prawie młoda oznacza czterdziestkę. Wiek „na który wygląda" — pięćdziesiątka (jej zdaje się, że dwadzieścia). W średnim wieku — około sześćdziesięciu. W tym ostatnim wypadku nie bez racji: teoretycznie można wszak żyć do 120, a więc 60 to oczywiście wiek średni.

Jeżeli ofertantka pisze, że jest bardzo przystojna, — to czeka na Kazia w umówionem miejscu wymalowane, jak kamienica staromiejska straszydło. Jeśli pisze, że jest bardzo elegancka (jedna napisała „elegantska") — napewno nosi się jak as pikowy w karnawałową noc. Jeśli nadmienia skromnie, „mówią, że jestem przystojna" — to zaledwie można na nią bez odrazy patrzeć. Oczywiście takiej, któraby napisała, że jest stara lub brzydka — niema.

90 proc. ofert zaczyna się: „Jestem młodą osobą z towarzystwa". Potem następuje opis własnych „charm'ów", z dodaniem kilku słów o temperamencie, zmysłach, uniwersyteckiem wykształceniu (15 błędów ortograficznych), aspiracjach podniebnych i nielitościwym losie. Jedna pisze: „Proszę mi wybaczyć papier i błędy, ale piszę na poczcie i nie miałam czasu

(Dokończenie na str. 16-tej).

Beguin—Poste restante

(Dokończenie ze str. 15-ej.)

zdjąć rękawiczek". Druga przysyła list tajemniczy, od nagłówka do podpisu na maszynie. Tej zapewne „Underwood" nie umie pisać gramatycznie.

Są i rozwydrzone pannice, i opuszczone wdowy, i ofiary losu, i pensjonarki, którym przewróciło się w łebku, i grafomanki, i rozwódki w poszukiwaniu Ersatzu, i zredukowane „petites amies" (z powodu kryzysu), i Vampy wyrosłe na Bagnie czy Solcu, i urzędniczki bez zajęcia, i artystki bez engagement, i... embarras de richesse.

Są listy z Brzuchowic ad Lwów i Słobody ad Kołomyja. Są listy „zaś ale" z Kcyni czy Węgrowca. Są listy z Oszmiany, gdzie stoi jak by: „...jestem piękna, uczciwa (sic) kresowianka i można się na mnie położyć".

Honni soit qui mal y pense.

Jest list zaczynający się od słów: „Przyjdź Nieznany. Ukoj serca tenstknotę (sic) i głud (sic) zmysłów. Czekam ciebie z otwartemi ramiony".

Brrr!

„Szukam siostrzanej duszy, afektu szczerego i wspólnych wędrówek w błękitną krainę marzeń. Zaznaczam, że nie jestem ani stara, ani brzydka. Solveg".

Biedna Solvego. Nie myślałaś zapewne nigdy, że z bohaterki skandynawskiej sagi staniesz się bohaterką poste restante. Sic transit...

„Jestem mężatką, młodą, wykształconą, przystojną. Nudzę się. Mąż mój nie odpowiada mi duchowo i fizycznie. Szukam wrażeń. Nieznane nęci mnie i pociąga. Jestem jak kwiat przydrożny, który tylko pragnie, by go zerwać... A propos — co to znaczy „bèguin"? Czy to jaka nowa perwersja?"

Bij, kto w Boga wierzy!

Kazio szaleje. Miał w jednym dniu 14 rendez - vous, a nadto musiał odpisać na 24 listy. Prowadzi osobną buchalterję, bo inaczej by się nie połapał. Pomięszałby Lolę z Podwala z Lydją z pod Nowogródka i Wisienkę z Grójca z Reginą ad Rzeszów. Najgorsze, że w pośród ofertantek nie znalazł ani jednej, ale to ani jednej... możliwej. Smutne choć prawdziwe.

Chcecie mego zdania? Streści się w dwóch słowach: Szkoda czasu. Kobieta sympatyczna, ładna, inteligentna i interesująca, nie chodzi samopas. A na ogłoszenia odpisują wykolejone ostatnie maruderki batalјonu Cytery, albo też „zwierzątka" identyczne do tych, z których robi się futra. Dixi.

To też do Kazia i jemu podobnych powiadam: Przestańcie moje dzieci, bo się źle bawicie...

Jim.

Impresje teatralne

TEATR LETNI: „Wszyscyśmy tacy sami", sztuka w 3 aktach F. Lonsdale'a.

Oto już trzecia sztuka tego autora, którą oglądamy na scenach stołecznych. Z pozostałych dwóch utkwiły nam w pamięci przedewszystkiem wspaniałe kreacje naszych artystek: Romanówny w „Końcu pani Cheney" oraz Broniszówny w „Kokotach z towarzystwa". Obie sztuki były wyzwaniem, rzuconem kołtunerji angielskiej, a raczej purytanizmowi, bo nasz polski wyraz nie bardzo pasuje do wysztywnionego i wypolerowanego wykwintu i wytworności angielskiej „society". Wprowadziwszy raz złodziejkę, a raz ulicznicę do dystyngowanych salonów, autor tym razem prześwietlił działanie na ów światek modnego obecnie pojęcia „sex appeal" (tak brzmi nawet tytuł sztuki w oryginale). Trudne do przetłómaczenia na jakikolwiek język, pojęcie (dosłowny przekład brzmiałby „zew płci") jest owym nieuchwytnym fluidem, promieniującym z niektórych osób, a budzącym w innych pożądanie zmysłowe. To coś, co stało się decydującem o powodzeniu... gwiazd filmowych. Greta Garbo i Brygida Helm, Rudolf Valentino i Clive Brook — oto typowi przedstawiciele filmowego „sex appeal".

Wystawiona przez teatr Letni sztuka osnuta na tle owego „zewu płci" nie jest nadzwyczajnie frapująca, ale obejrzeć ją trzeba. A poco?

Ano, poto, aby podziwiać koncertową grę Solskiej, niewysłowiony urok i inteligencję sceniczną Smosarskiej, rasowy „salon" Owerłły, miły wdzięk Łuszczewskiego, rzeczywiście niebezpieczny „sex appeal" Różańskiej i induski zawój Lenczewskiego...



Finał „Samych Przebojów" w „Morskiem Oku". Przemiłe „girlsiaki" Zosia i Irka („Hipek - Warjat") jako sprzedawczynie „7 Dni". (fot. Brzozowski.)

„MORSKIE OKO": „Same przeboje", rewja w dwóch aktach.

Istotnie, muszę przyznać, że...same przeboje... Najlepszy dowód, że ogląda się je już po raz niewiadomo który z niesłabnącem zainteresowaniem. Takie np. „Fontanny Wersalu" — toż to ucieleśnienie najpiękniejszych arcydzieł takich mistrzów, jak: Watteau, Fragonard, Boucher... A potem te różne Warsy, które już Warszawę tak opanowały, że nikt „nie powróci już nigdy" do domu, aby nie słyszeć tego ze wszystkich fortepianów, gramofonów, mandolin, głośników i kucht całej kamienicy z przyległościami... Klnie człowiek, na czem świat stoi i... przyłapuje się sam na nuceniu innego „warsowłasta" czy „włastowarsa"... Już to trzeba przyznać, że żaden teatr tak nie umie popularyzować melodji, jak to nasze „Morskie Oczko w głowie"...

No, ale, jeżeli się takiemi przebojami skończyło, to jakiemi dopiero się zacznie... nowy sezon. Aż człowiekowi dech zapiera w piersiach... I już nie możemy się doczekać tej rewji inauguracyjnej, na którą nas tak rozkosznie zaprasza, częstując podniecającym, jak ona sama, „cocktailem", czarująco-urocza Stasia Karlińska...

A więc do zobaczenia się z nią oraz z Ney'ami, Antoszówną, Sokołowską, Nowicką, Bodem, Olszą, Walterem, Rolandem, Sielańskim, Rapackimi, a chyba i z Bobrowską, bo jakże bez niej? Bo kto raz ujrzał tę przemiłą śpiewaczkę nie może nie śpiewać: „Ja o tobie myśleć nie przestaaanę...".

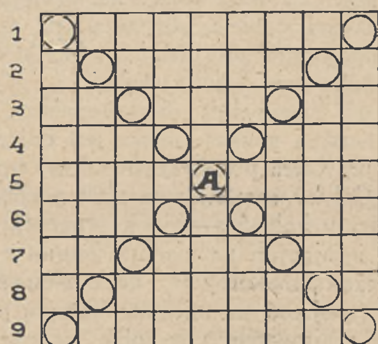
Henryk Liński.



Smosarska, Owerło i Łuszczewski w sztuce Lonsdale'a w Teatrze Letnim: „Wszyscyśmy tacy sami". (fot. Malarski.)

Rozrywki umysłowe

LOGOGRYF.



UŁOŻYŁA ZOFJA KUCZYŃSKA Z WARSZAWY

Litery, oznaczone kółkami, czytane dośrodkowo, dadzą nazwy 4-ch rzek w Polsce. Środkową literą jest A.

Znaczenie słów.

1. Miasto w województwie Warszawskiem
2. Imię męskie
3. Roślina z rodziny dyniowatych
4. Inaczej zdecyduje, rozporządzi
5. Miejscowość kąpielowa w Polsce
6. Inaczej wycięty
7. Nazwa epoki geologicznej (przymiotnik)
8. Część mowy
9. Imię męskie.

NAGRODY

Za rozwiązanie logogryfu z niniejszego N-ru przeznaczamy do rozlosowania nagrodę w postaci

25 złotych

oraz 2 książki beletrystyczne. Termin nadsyłania rozwiązań do dnia 1 października b. r.

NAGRODY.

W wyniku losowania, za prawidłowe rozwiązania krzyżówki i arytmogryfu z Nr. 34, otrzymują nagrody:

25 zł. — Irena Lewicka, Lwów, Grunwaldzka 1.

Książki beletrystyczne: Irena Pinczewska, Gandawa, 36 rue du Compromis (Belgja) i Marja Brandtowa, Ostrowiec Kielecki, Zakłady Ostrowieckie.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z Nr. 35.

Krzyżówka

S	T	R	A	T	A
A	R	O	M	A	T
T	A	K	A		E
U	T		N	O	C
R	W	E	T	E	S
N	A	M		L	A

Krzyż magiczny.

	G	A	S	O	W	S	
G	A	L	A	R	E	T	A
A	L	E	A	N	D	E	R
S	A	A	W	E	D	R	A
O	R	N	E	L	I	L	L
W	E	D	D	I	G	E	N
S	T	E	R	L	E	T	Y
	A	R	A	L	N	Y	

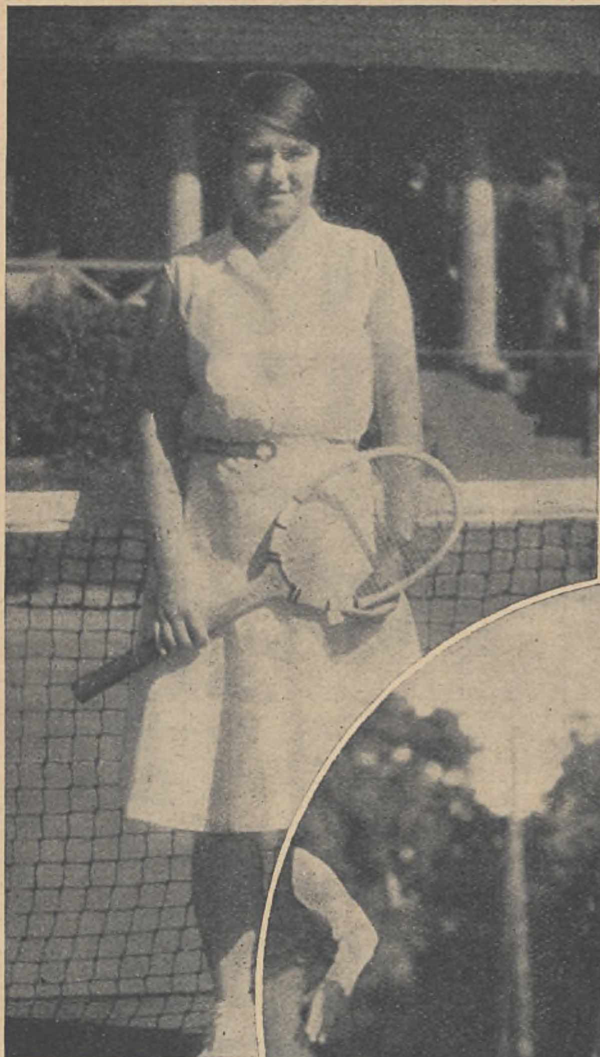
Okładkę projektował LEON CHEJFEC

SKRZYNKA POCZTOWA.

P. Henrykowi Swolkieniowi z Warszawy. Sz. Pan pisze: „Mimo szczerej sympatji, jaką otaczam najciekawszy nasz polski tygodni „7 Dni", nie mogę się zgodzić by „Nas" było *trzecim* przypadkiem od „My".

Nie wymagamy od Pana takiej zgody. Widocznie jednak Sz. Pan zapomniał, że trzeci przypadek od „my" jest „nam", a przecież „em" jest nazwą litery, równie dobrze, jak „es".

P. Januszowi Zawadzkiemu z Wygody w woj. Kieleckiem. Sz. Pan znalazł mikroskopijny błąd: rzeczywiście zamiest d6 powinno być e6. Nie potrzeba wiele fantazji, aby domyśleć się, że zaimek wskazujący to ma być „ta" a nie „amant". Zwracamy również uwagę na to że krzyżówki, umieszczane w „7 Dniach" są rzeczywiście krzyżówkami, to znaczy posiadają znaczną ilość skrzyżowań i niewielką ilość czarnych kwadratów w odróżnieniu od parodji krzyżówkowych, drukowanych przez nieudolnych kierowników działów rozrywek umysłowych w wielu pismach. Naprzykład, słowo „amant", którego określenia nie podano, jest całkowicie (!) skrzyżowane, to znaczy wszystkie litery jego wchodzą w skład przecinających je słów poziomych. Niepodobna więc nie rozwiązać tak ułożonej krzyżówki.



Jędrzejowska, mistrzyni Polski w tennisie. (fot. Walter).



Walasiewiczówna w rzucie dyskiem. (fot. Walter)



Walasiewiczówna i Kwaśniewska, dwie konkurentki w skoku w dal. (fot. Walter).

WIKTOR JUNOSZA.

SPORTSWOMEN

W końcu ubiegłego stulecia jedynemi ćwiczeniami cielesnemi, jakim kobieta mogła się oddawać bez narażania opinji na szwank — były tańce i gra w serso. Później, gdy poglądy cechować zaczął większy liberalizm — pozwolono jej odwiedzać kort tennisowy a nawet operować na planszy szermierczej, co uchodziło wszakże zdecydowanie za ekscentryczność.

Ukazywać się tłumom w krótkich spodenkach, a tembardziej skakać przez płotki czy startować do regat wioślarskich — jeszcze dziesięć lat temu uznawane było powszechnie za shocking, za rzecz wręcz nieprzyzwoitą.

Dziś, w związku z ogólnym dążeniem do rozszerzenia sfery swej aktywności, kobieta wkroczyła śmiało i na teren sportowy, domagając się i tu całkowitego równouprawnienia z mężczyzną. Biega na przełaj, rzuca dyskiem, skacze do wody z wysokości pięciu metrów, bierze udział w konkursach hippicznych, ba — jeździ na motocyklu i kieruje samolotem.

Można śmiało twierdzić, iż jedną z charakterystyk ostatnich lat, w dziedzinie kultury fizycznej — jest niesłychany wprost rozwój zainteresowań sportowych wśród niewiast. Organizuje się wielkie międzynarodowe Igrzyska kobiece, zawodniczki takie, jak Halina Konopacka, czy Stanisława Walasiewiczówna, dzięki wyczynom atletycznym zdobywają sławę światową i stają się chlubą swej Ojczyzny.

Nie są tem zachwyceni niektórzy przedstawiciele rodzaju męskiego, tę postępowość uważający za szkodliwą ekstrawagancję i za godny potępienia przejaw ślepego naśladownictwa. „Stuprocentowi mężczyźni coraz głośniej lamentują nad zanikiem „stuprocentowej kobiety". Bo sportswomen — nieraz przewyższająca ich sprawnością fizyczną i lepiej do wysiłków zaprawiona— w pojęciu ich nie jest już „białogłową".

Czy pozornie śmieszne i naiwne, zdanie to nie kryje w sobie cząstki prawdy?

Zadaniem sportu jest nietylko krzepić ciało, uwypuklać mięśnie i pogłębiać płuca — lecz **r ó w n i e ż** wywierać wpływ na ducha. Mianowicie urabiać charaktery, hartować wolę, dodawać zimnej krwi, rozwijać inicjatywę, zaostrzać energję, uczyć zaciskania zębów i trwania. Jednem słowem prowadzić do rozkwitu cnót, które zwykliśmy łączyć w krótkim określeniu: cnoty męskie.

Sport kobiecy stawia sobie te same cele, jakie przyświecają sportowcom, należącym do płci, słusznie czy niesłusznie zwanej brzydką. Czyż więc sport kobiecy ma w niewiastach rozwijać męskość? Czy nie kryje się tu niebezpieczeństwo groźne, czy zamiłowania sportowe nie pociągną za sobą utraty najcenniejszych zalet, jakiemi kobieta odznaczać się może, nie zagłuszą tego *odor feminae*, bez którego życie pozbawione byłoby uroku?

Trwoga niezupełnie nieuzasadniona. W sporcie męskim męskość nieraz jest deformowana i przybiera postać gruboskórnej brutalności. Gdyby sportswomen zbyt pochopnie naśladowały kolegów—widok uroczych białogłów, igrających na zielonej murawie stadjonu, często budziłby w estecie niesmak.

Dość spojrzeć na niektóre fotografje w pismach sportowych, by sobie wyobrazić, jak wyglądać może mecz „rugby" pomiędzy ambitnemi drużynami kobiecemi, jak wyglądać może kobieta w kolarskim biegu szosowym czy na deskach bokserskiego ringu.

Współczesna kobieta powinna być energiczna; rozmarzona, indolentna lalka już nie jest w modzie; świat dzisiejszy rozkoszuje się w czynie, a nie w mdłej, sentymentalnej, nieproduktywnej kontemplacji. Ale męskość polega nie na tem, by nosić smoking, wyrażać się wulgarnie i zachowywać ordynarnie; męskość polega na tem, by do celu iść śmiało i zawzięcie, nie bać się odpowiedzialności, nie bać się walki, nie bać się wytężonej pracy. I taka męskość da się cudownie połączyć z urokiem niewieścim w jego zdrowej formie.

Albowiem stanowczość nie kłóci się z łagodnością, energja nie urąga gracji, pracowitość nie przekreśla subtelności.

Zuzanna Lenglen jest na korcie tenisowym piękna, choć gra ostro i twardo; Konopacka, rzucająca dyskiem jest nad wyraz estetyczna, choć wyładowuje ogromny zasób siły; lecz gdyby kopały się wzajemnie po nogach w meczu piłkarskim, stałyby się odrażające.

Niech więc kobieta, w sporcie tak, jak i urzędzie — szuka męskości tam, gdzie nie grozi nic jej właściwościom specyficznym, jako kobiecie. Jeśli nie wystarczają jej tenis, lekka atletyka, wioślarstwo czy łyżwiarstwo, jeśli nie zaspakajają jej narty i florety — niech uda się do tej dziedziny sportu, która najbardziej może rozwinąć w niej twarde cechy charakteru, najmniej zagrażając miękkim.

Są to sporty mechaniczne: samolot, samochód, łódź motorowa. Przy kierownicy wyścigowego auta niewiasta musi dokazać cudów zimnej krwi, odwagi i opanowania nerwów. A jednocześnie może pozostać wytwornie elegancką; posiadając wszelkie cechy męskości, zachować to „ewig weibliches", bez którego byłaby tylko sfuszerowanym chłopcem.

Wśród książek

Maciej Wierzbiński. „Pękły okowy" (Wyd. „Polonia", Katowice, 1930.).

Maciej Wierzbiński, autor „Wolności" wydał ostatnio znakomitą powieść regjonalną, a przedewszystkiem społeczną z zakresu plebiscytu polskiego na Górnym Śląsku. Autor wykazał wielką intuicję artystyczną, oraz podkreślił w wielkiej mierze stosunek bohaterów do życia z punktu widzenia gospodarczego. Znajdzie tam czytelnik przepiękną fabułę romantyczną, niemniej ofiarną pod względem narodowym. Kapitalnie odmalowane typy świadczą o talencie wybitnego powieściopisarza polskiego, jedynego prawie przedstawiciela Wielkopolski. Wierzbiński, jako twórca dzieła sztuki, zdawał sobie dobrze sprawę z powziętego zamiaru w treści, dlatego dopiął celu bez żadnego zarzutu politycznego, a powieść „Pękły okowy" powinna znaleść się w ręku każdego Polaka, któremu na sercu leży tak nam miły i rdzennie Polski Górny Śląsk.

JIM POKER. „Oczy Malajki" („Rój", 1930).

Książka Pokera podobna jest treścią do książki Czaplica, tylko że akcję przenosi Poker na morze, gdzie również Polacy byli bohaterami. Najciekawsze jest opowiadanie w formie noweli: „Za króla Zygmunta", nagrodzone na konkursie „Morza". Tyle przygód, wprost nieprawdopodobnych, ale według autora, prawdziwych, opartych na realizmie i znajomości terenu i ludzi. Książka Pokera jest napisana z zainteresowaniem i wielkiem przywiązaniem do „Polskiego morza".

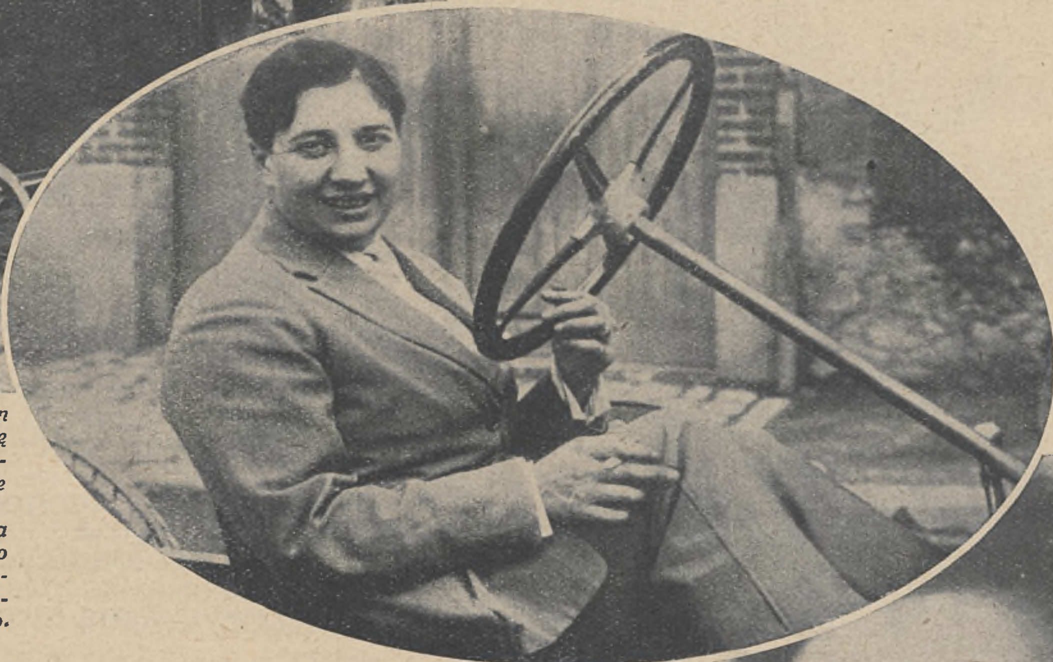
Paweł Krzowski.

JAN PIOTROWSKI.

Mężczyzna — czy kobieta?

Nadzwyczajne przygody kawalera d'Eon





Władze orzekły, że Evan Burt, mimo zajęcia się piastowaniem dzieci, winien przywdziać męskie szaty.
Wjoleta Morrisse została wykluczona z żeńskiego klubu sportowego w Paryżu za swoje przywiązanie do stroju męskiego.

W latach ostatnich coraz częściej spotykamy na szpaltach dzienników sensacyjne rewelacje o kobietach, przebranych w strój męski i przez długie lata prowadzących żywot mężczyzny. Kobietą okazał się np. osławiony pułkownik Barker, który dopiero po sześciu latach został przez policję angielską zdemaskowany. Kobietą jest również ekscentryczna Paryżanka, Panna Morisse, która od lat kilku nie rozstaje się ze strojem męskim, a niespełna rok temu, wzorem helleńskich Amazonek, poddała się amputacji biustu pod pretekstem, jakoby biust miał jej przeszkadzać w kierowaniu samochodem.

O wiele rzadziej, rzecz prosta, zdarzają się męscy amatorowie sukien kobiecych. Miało wprawdzie kilku zwyrodniałych cezarów zwyczaj przebierania swych ulubieńców w suknie niewieście, podaje nam też historja kilkadziesiąt wypadków ucieczki więźniów w szatach innej płci, a Beaumarchais do swego „Wesela Figara“ wprowadza prześlicznego Cherubinka, młodego pazika, któremu było tak do twarzy w krynolinie, że wprowadził w błąd nawet takiego don Juana, jak hrabia Almaviva.

Już starodawne podania helleńskie przynoszą nam wieści o kobietach, przebranych w szaty męskie i obserwujących męskie obyczaje. Były niemi Amazonki, zamieszkałe na wybrzeżach Morza Czarnego, w Scytji, oraz na wybrzeżach afrykańskich. Miały one podobno pozostawać pod rządem własnej królowej, a tak mężczyzn nie cierpiały, że wyświęciły ich precz ze swego państwa. Waleczne to były niewiasty — niejednokrotnie też spotykamy się z niemi w nieśmiertelnej Iljadzie. Świetnie jeździły konno i władały bronią, wypalając sobie pierś lewą, aby lepiej mierzyć i strzelać z łuku. Podobnie waleczne niewiasty odkryli zdobywcy Ameryki na jednej z wysp wielkiej rzeki, którą nazwali też Amazonką. I w nowszych czasach nie brak naśladowczyń legendarnych Amazonek, że przypominamy słynną, rzeczywiście kiedyś żyjącą bohaterkę romansu Gautier'a, Pannę de Maupin.

Wszystko to jednak są tylko *travesti* chwilowe, wywołane tragiczną koniecznością lub chęcią spłatania wesołego figla. Oryginalny wyjątek wśród nich stanowi żywot Kawalera d'Eon, którego fantastyczne przygody przez pół wieku zgórą wprowadzały w osłupienie naszych pradziadów.

Urodzony w 1728 roku mały d'Eon szczupłą i wiotką budową ciała oraz śliczną twarzyczką przypominał raczej dziewczynkę, niż chłopczyka. Mijały lata, lecz wygląd jego nie ulegał zmianie. Matka naszego bohatera, oczarowana urodą swego jedynaka, przebierała go od czasu do czasu w suknie jego starszej siostry, kładąc mu na głowę koronkowe czepeczki, z pod których wymykały się figlarne pukle długich, jasnych i cienkich jak jedwab włosów. W dziesiątym roku życia widzimy małego Eona w kolegjum, gdzie z takim zapałem oddaje się pracy, że już po niespełna sześciu latach uzyskuje tytuł doktora i zapisuje się jako adwokat do Palestry Paryskiej.

Mimo swej wątłej budowy młody Kawaler d'Eon przepada za zgiełkiem, za życiem czynnem i pełnem przygód. Poświęca też kilka godzin dziennie trudnej sztuce fechtunku, opanowując ją pod kierunkiem słynnego Taillagory tak doskonale, że niebawem uważany jest za pierwszą szpadę w całym Paryżu. Z zapałem też uprawia jazdę konną. Niema dnia, aby nie zadziwiał przechodniów w Lasku Bulońskim swemi nadzwyczajnemi popisami jeździeckiemi. Uprzejmy, wytworny, oczytany i dowcipny staje się Kawaler d'Eon przedmiotem westchnień zalotnych Paryżanek z wielkiego i... mniejszego świata, gotowych na wiele... i coś jeszcze ponadto dla uroczego Cherubinka...

Spotyka je jednak zawód okrutny. Piękny, jak obrazek, Kawaler, aczkolwiek lubi towarzystwo niewieście, pozostaje nieczuły na najbardziej zalotne i obiecujące spojrzenia, odpowiadając milczeniem, a czasem nawet i sromotną ucieczką, na wszystkie serdeczne i zachęcające zwierzenia swych adoratorek...

W owych czasach, za weneckim przykładem, wielcy panowie francuscy nader często odwiedzali w przebraniu knajpki podmiejskie, bawiąc się w nich weselej i swobodniej, niż w marmurach swych pałaców lub w strzyżonych bosquetach przepysznych ogrodów. Chętnie towarzyszył im w tych wyprawach Kawaler



Paweł Grappe — zamordowany przez swoją żonę, przy której ukrywał się w ciągu 10 lat przed władzami w przebraniu kobiecem.

d'Eon, przezwany przez najbliższych „Mademoiselle d' Eon", wdziewając przy tej okazji suknie kobiece. Wszyscy, którzy nie znali go bliżej, uważali go wówczas za urodziwą dziewczynę, a gładka jego cera i wysoki, miękki timbre głosu potęgowały to złudzenie.

Niebawem też spotkała go na tem tle pierwsza wielka przygoda — lecz nie na terenie paryskim, ale w dalekim, mroźnym Petersburgu.

Na tronie Piotrowym zasiadała wówczas carowa Elżbieta, pozostająca pod wpływem grafa Bestużewa, który, ulegając podszeptom Anglji i częściowo Prus, nie dopuszczał do swej władczyni wysłanników dworu francuskiego. Ale „gdzie djabeł nie może, tam babę pośle". Madame de Pompadour, kochanka Ludwika XV, która trzęsła całą Francją i pośrednio kierowała jej polityką zagraniczną, wpadła na pomysł wysłania w tajnem poselstwie do carowej nie kogo innego, lecz właśnie... naszego pięknego bohatera. W najgłębszej tajemnicy wezwano Kawalera d'Eon do Wersalu, przebrano go w suknie niewieście, upudrowano, uszminkowano i wyprawiono w podróż, przydając mu do boku w charakterze towarzysza podróży i mentora starego Szkota niejakiego Kawalera Douglasa.

Douglas nie wiedział zresztą, komu towarzyszy w tej dalekiej i ryzykownej wyprawie. Był o sto mil daleki od myśli, aby ta śliczna, filigranowa panna Lea de Beaumont, która sznurując koralowe usteczka zasiadła obok niego w powozie, miała być w rzeczywistości Kawalerem d'Eon. Zachwycał się jednak nietylko jej urodą, lecz i wiedzą, z szacunkiem spoglądając na „Ducha Praw" Monteskjusza, dzieło, które panna Leo z zapałem wertowała na wszystkich popasach, nie rozstając się z niem zresztą ani na chwilę. Nie domyślał się, rzecz prosta, poczciwy Douglas, że w oprawie tej książki kryją się własnoręczne listy Króla Francji do carowej.

Po przybyciu do Petersburga, przebrany Kawaler d'Eon zawiera liczne znajomości z damami z najwyższego towarzystwa, olśniewając je swemi strojami, urodą i wykwintnemi manierami. Wieść o dystyngowanej Paryżance przedostaje się na dwór cesarski. Zaproszony na jeden z balów dworskich, staje d'Eon wraz ze swym nieodstępnym „Duchem Praw" przed władczynią Rosji, uzyskuje posłuchanie w cztery oczy, odkrywa zdumionej Elżbiecie swą tajemnicę i wręcza jej listy Ludwika XV. Rozśmieszona do łez carowa zasypuje kawalera gradem komplementów i nagród.

Niedługo jednak bawi nasz bohater na dworze rosyjskim. Po kilku miesiącach spotykamy go znów we Francji, gdzie wdzięczny Ludwik XV mianował go kapitanem swej dragonji królewskiej. I na tem stanowisku nie zagrzał miejsca Kawaler d'Eon. Wysłany do Anglji w charakterze sekretarza ambasady, przez lat kilka nadsyła swemu mocodawcy pierwszorzędnej wartości rewelacje.

Tymczasem wieść o petersburskiej przygodzie naszego bohatera, wyolbrzymiona i uzupełniona licznemi baśniami, obiegła wszystkie stolice Europy i dotarła do mglistego Albionu.

Uciekając przed niedyskretną ciekawością londyńczyków, bierze Kawaler d'Eon dymisję i, aby zmylić swych natrętnych prześladowców, wykrada się z Londynu w sukniach kobiecych. Lecz po przybyciu do Paryża wkłada świetny mundur kapitana dragonów i staje w nim przed swym dowódcą pułku. Tu jednak czeka go przykra niespodzianka. Ówczesny premjer francuski, de Vergennes, przekonany, że Kawaler d'Eon jest jednak kobietą, rozkazuje mu natychmiast zdjąć mundur i wdziać suknie kobiece.

Z melancholijną rezygnacją poddaje się Kawaler d'Eon swemu losowi. Nie protestuje nawet wtedy, kiedy w jego otoczeniu powstaje myśl... wydania go zamąż! Potulnie wtajemnicza się w arkana sztuki kuchennej, uczy się szyć, haftować i innych tego rodzaju umiejętności niewieścich... Pewnego dnia jednak zdobywa się na odwagę i umyka do swego rodzinnego miasta, do Tonnerre, gdzie ukrywa się przez lat kilkanaście.

W przededniu wybuchu Wielkiej Rewolucji, sześćdziesięcioletni Kawaler d'Eon opuszcza Francję i powraca do Londynu, gdzie odnawia znajomość z niejakim Angelo, z którym ćwiczył przed laty u Taillagory'ego. Zakładają do spółki salę fechtunkową. Cieszy się ona dość znacznem powodzeniem. Lekcje fechtunku pod kierownictwem osławionej „Panny d'Eon" zaczynają należeć do dobrego tonu...

W trzy lata później cały Londyn ze zdumieniem przyjął sensacyjną wiadomość, że dnia 21-go maja 1810 r. zgasł Chevalier d'Eon, mężczyzna, którego przez pół wieku świat cały uważał za kobietę...

J. MISIEWICZ.

Kula--jako świadek zabójstwa

(Dokończenie).

Po odpakowaniu przesyłki przystępuje laborant przedewszystkiem do odpowiedniego spreparowania kuli. W tym celu śpiczasty koniec pocisku zostaje odpiłowany w taki sposób, aby pozostała tylko jego część dolna, mająca kształt równego walca; następuje zdjęcie pancerza kuli, w którym to celu rozcina się go wzdłuż, wybierając linję, nie posiadającą cech charakterystycznych, poczem rozpłaszcza się pancerz, który w ten sposób nabiera kształtu prostokąta. Przy pomocy specjalnego aparatu mikrograficznego, pod bardzo silnem oświetleniem, fotografuje się rozpłaszczony pancerz oraz dno gilzy. Otrzymuje się w ten sposób zdjęcia powierzchni kuli i dna gilzy, znalezionych na miejscu przestępstwa, i to w tak dużem powiększeniu, że każdy drobny ich szczegół wychodzi z całą wyrazistością. Po spełnieniu tej czynności przechodzi laborant do drugiej fazy pracy przygotowawczej. Z podejrzanej broni dokonywa doświadczalnego strzału w kadź z wodą, która ma tę właściwość, że nie zniekształca ani formy pocisku, ani jego powierzchni. Z uzyskanej w ten sposób drugiej kuli i gilzy sporządza się fotografję w sposób analogiczny. Następuje rozstrzygający moment



Niemożność identyfikacji tych gilz drogą porównania odcisków trzona zamkowego, skierowała badającego do przeprowadzenia badania kroju dna gilz, na których znaleziono indentyczny odcisk pazura wyciągu, który działa zarówno przy strzale udanym, jak i niewypale.

ekspertyzy: czynność porównawcza. Proste położenie obok siebie dwu odpowiednich fotografji i wyszukanie znaków identycznych, choćby dokonane zostało niezwykle skrupulatnie i mozolnie, byłoby jednak porównaniem, że tak się wyrażę, „na oko", mogłoby się też okazać błędnem. Dlatego też badanie porównawcze zostało tu zmechanizowane i to w bardzo prosty sposób. Wyobraźmy sobie dla przykładu dwie fotografje pancerzów: kuli znalezionej na miejscu przestępstwa i kuli, pochodzącej z wystrzału doświadczalnego, dokonanego w laboratorjum. Fotografje te przedstawią się nam w formie dwu prostokątów, posiadających cały szereg smug i kresek. Przetnijmy w dolnem miejscu, byle tylko pod kątem do równoległych smug i kresek, pierwszą fotografję, i uczyńmy to samo i w tem samem miejscu z fotografją drugą. Przetnijmy teraz pierwszą część fotografji kuli zabójczej z drugą częścią fotografji kuli wystrzelonej w laboratorjum: jeśli obie te części (pochodzące z różnych zdjęć) przystaną do siebie tak zgodnie, że odpowiednie smugi i kreski wpadną wzajem na siebie, tworząc w rezultacie obraz jednolity, jakby pochodzący z jednej fotografji, to wniosek stąd oczywisty, że kula zabójcza wystrzelona została z wszelką pewnością z podejrzanego egzemplarza broni. Tę prostą manipulację, przypominającą do pewnego stopnia składanie łamigłówki dziecięcej, można zresztą dla tem większej pewności powtórzyć kilkakrotnie, wybierając za każdym razem inną linję przecięcia.



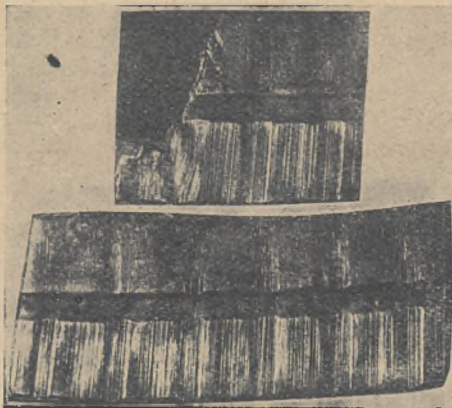
Zdjęcie pancerzy kul: znalezionej w zwłokach zabitego i wystrzelonej w laboratorjum policyjnem z podejrzanego rewolweru dla dokonania badania porównawczego.



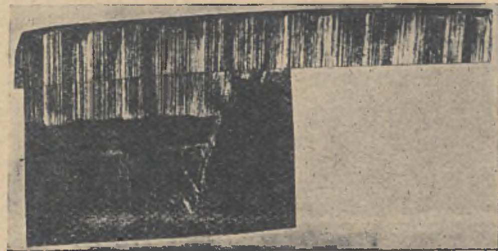
Te same pancerze, odpowiednio zestawione ze sobą: zgodne wpadanie wzajemne szeregu kresek wskazują, że kule mordercze i doświadczalne wystrzelone zostały z jednego, mianowicie zakwestjonowanego, rewolweru (pewne różnice tonacji wywołane są załamaniami światła, przy którem robiono zdjęcie).

Że jednak oparcie się na jakimś jednym, choćby najbardziej charakterystycznym, śladzie byłoby lekkomyślnością, wskazuje choćby następujący ciekawy wypadek z praktyki kryminalnej.

Zarówno kupiectwu drezdeńskiemu, jak i miejscowej policji dał się przed kilku laty we znaki jakiś tajemniczy włamywacz, który okradał nocami sklepy, przez wytłaczanie szyb wystawowych. Włamywacz ten znalazł się pewnej nocy w prawdziwem niebezpieczeństwie, gdy będąc przyłapanym przez przechodniów na gorącym uczynku, został przez nich otoczony. Z opresji wyratował go śmiały skok w bok i szybką ucieczka, w czasie której strzelił kilkakrotnie do goniących go. Na placu pozostała jednak łuska z wystrzelonych nabojów, która przeszła następnie w posiadanie policji. Kiedy też po pewnym czasie, na skutek różnych poszlak, aresztowano znanego policji włamywacza, jako podejrzanego o wspomniane kradzieże, zdecydowano wyzyskać posiadaną gilzę dla porównania jej z bronią, znalezioną u włamywacza w trakcie aresztowania go. Gdy wystrzelono w tym celu z rewolweru włamywacza, stwierdzono z zadowoleniem, że zarówno gilza, znaleziona w pobliżu miejsca spłoszenia włamywacza, jak i gilza, pochodząca ze strzału doświadczalnego, mają identyczny, niezwykle charakterystyczny znak w postaci wgłębienia w kształcie trójkąta, położonego przy wgłębieniu od iglicy. Ten jeden, jedyny szczegół przekonał policję, że tajemniczy złodziej i aresztowany włamywacz są jedną i tą samą osobą. Taki wynik badania porównawczego wystarczył i samemu aresztowanemu, który przyznał się na skutek tego do winy. Z pewnością jednak włamywacz ten, który zresztą rzeczywiście był winien, nie byłby tak pochopny do przyznania się, gdyby wiedział, o czem zresztą nie wiedzieli i policjanci, że trójkąt, którym go zaszachowano, bynajmniej nie był cechą indywidualną jego pistoletu, a znakiem fabrycznym wyrobów fabryki Sauer (a tego systemu pistolet wchodził w grę), umieszczanym na każdej sztuce broni, pochodzącej z tej wytwórni.



Jedyny fragment pancerza, jaki udało się wykroić z silnie zdeformowanego pocisku, znalezionego w ciele zabitego oraz pancerz kuli, wystrzelonej w laboratorjum policyjnem z podejrzanego rewolweru dla dokonania badania porównawczego.



Pomimo tak nieprzyjaznych dla ekspertyzy okoliczności — zestawienie obu zdjęć wykazało doskonałą tożsamość obrazu smug i rys na obu pancerzach.

Wypadek ten miał miejsce jeszcze wówczas, gdy metoda identyfikacji broni nie stała na tym poziomie doskonałości, a szczególniej skrupulatności badań, jak obecnie. Teraz o tego rodzaju „badaniu", jak opisane drezdeńskie, mowy być nie może. W naszem laboratorjum policyjnem w Warszawie dokonano już setek ekspertyz z tej dziedziny, a każda z nich przeprowadzona była precyzyjnie i wszechstronnie. Wiele z nich stało się rozstrzygającym czynnikiem dla sprawy.



— *Nie bój się pan, do djabła! Pańscy przodkowie ginęli na polu chwały...*

— *To właśnie dlatego, że ginęli...*

To, tamto i owo

KRÓTKOFALARSTWO NA WĘGRZECH

Z Węgier donoszą, że ilość amatorów-krótkofalowców w ostatnich czasach bardzo wzrosła. Na Węgrzech istnieje wogóle żywe zainteresowanie się krótkofalarstwem.

TRZYDZIEŚCI MILJONÓW FRANKÓW NA STACJE KRÓTKOFALOWE.

Senat francuski zatwierdził plan, według którego w roku 1930 ma być wydanych 30 miljonów franków na połączenie krótkofalowe pomiędzy Francją a jej kolonjami. Można się więc spodziewać, że Francja wkrótce będzie posiadała większą ilość stacyj krótkofalowych.

WYSTAWA DLA RADJA SZKOLNEGO.

Że radjo szkolne może się cieszyć żywem zainteresowaniem, wynika z faktu, że w „Palais du Cinquantenaire" w chwili obecnej odbywa się wystawa poświęcona specjalnie radju szkolnemu. Z wystawą tą połączony jest konkurs dla nauczycieli, którzy mają zgłosić plany, jak należy zorganizować radjo szkolne w sposób jaknajbardziej korzystny.

SKĄD POCHODZI NAZWA COCKTAIL?

W Ameryce krąży ostatniemi czasy anegdota o powstaniu słowa cocktail jako napoju-mieszaniny kilku gatunków alkoholu.

Bardzo blisko New Jork'u leży wioska Elmsdorf: tej to wiosce świat zawdzięcza istnienie trunku, tak obecnie modnego w całym świecie.

Do Elmsdorfu przybył razu pewnego, w porze obiadowej, oddział kawalerji z rotmistrzem na czele. Ten zatrzymał się przy karczmie, żądając wina.

Wina gospodarz nie miał, chcąc jednak pocieszyć rozczarowanych oficerów kawalerji, przyniósł pewien gatunek gorzkiej wódki, oraz butelkę pomarańczowego likieru. Miny poprawiły się odrazu, a fizjognomja rotmistrza zajaśniała, gdy gospodarz ponownie się zjawił z butelką szampana.

Dowódca oddziału, człowiek znający się na rzeczy, pomyślał, że coprawda, to każda z poszczególnych butelek zawiera rzecz smakowitą, ale czy nie lepiejby było wszystko razem pomieszać. Tak też zrobił. Piórem wyrwanym z ogona zabitego koguta, którego przebił właśnie jeden z kawalerzystów — mieszał w naczyniu by napój rozprowadzić.

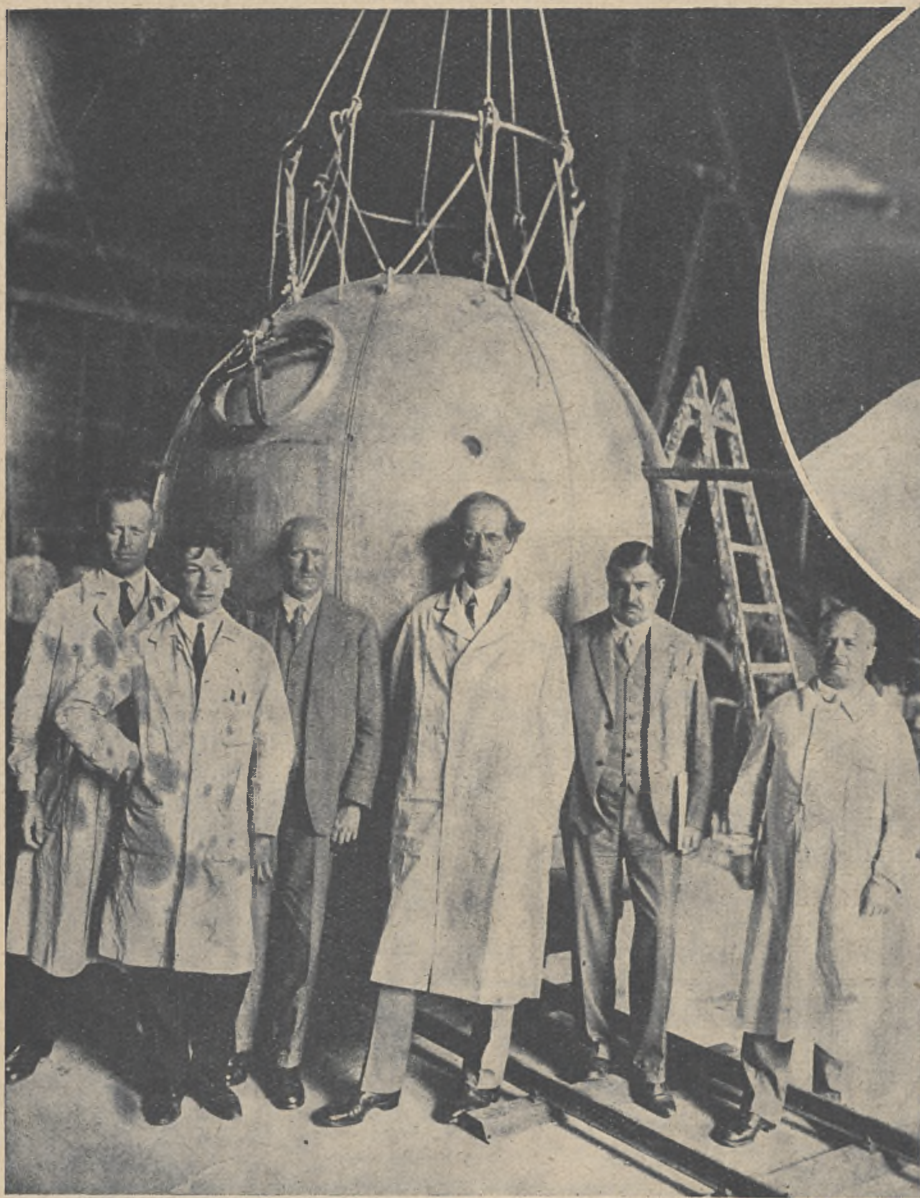
Z tego względu, dowcipni koledzy p. rotmistrza nazwali trunek, przyrządzony w ten sposób: „to the cok tail".

Jeśli historja nie polega na prawdzie, jest w każdym razie pomysłowa.



Dowództwo armji francuskiej ze szczególną pieczołowitością opracowało w tym roku szereg zadań taktycznych na manewry alpejskie, w których wziął udział gen. Weygand.

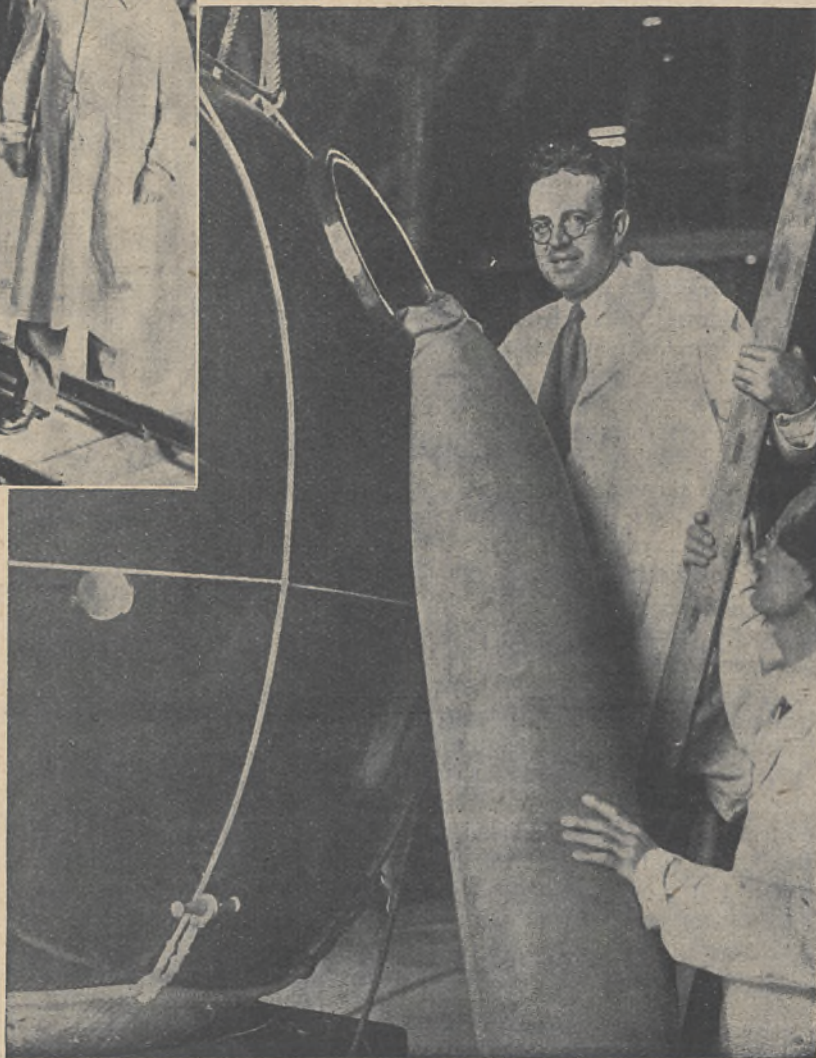
16.000 metrów ponad ziemią





Prof. Pickard przed swym balonem — pociskiem, w otoczeniu najbliższych współpracowników.

Nieraz, jeszcze jako dzieci, zachwycaliśmy się fantastycznemi podróżami bohaterów Juljusza Verne. Razem z nimi przeżywaliśmy niezliczone przygody, czy to w trzystotysięczno milowej podróży podmorskiej, czy w podróży dokoła księżyca, czy też na wyspie tajemniczej. Wiedzieliśmy, że są to tylko piękne pseudo-naukowe bajki, które nigdy nie przekroczą zaklętej granicy krainy fantazji. Minęło nie wiele dziesiątków lat i fantazja zamieniła się w rzeczywistość. Ewolucja socjalna, którą należy uważać za matkę wszystkich wynalazków i rozwoju techniki, zmusiła ludzi, by sięgnęli do pierwowzorów fantazji. Łódź podwodna, samolot, sterowiec, auto oto są wyniki postępu umysłu ludzkiego. Nie dość na tem. Niespokojny duch ludzki sięga dalej, w przestrzenie kosmiczne. Chce zbadać tajemnicę otaczających nas globów. Zamyśla stworzyć jakieś potworne wehikuły, przebywające astronomiczne przestrzenie w ułamek sekundy. Prof. Pickard należy uważać za pioniera tych międzyplanetarnych marzycieli. Narazie próbuje on w aluminjowej kuli osiągnąć wysokość 16.000 metrów. Jeżeli mu się to uda, to możemy się spodziewać, że znajdzie tysiące konkurentów, którzy, osiągając nowe rekordy, dotrą aż do innych światów.



Przy pomocy rury wprowadzają świeże powietrze do wnętrza aluminjowej gondoli balonu.

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE.
Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Chmielna 35.
Telefon 525-85. Konto P. K. O. 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł 600, mniejsze podług ilości milimetrów, 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy.
Klisze ogłoszeniowe, zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty, są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe
Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. Wydawca: „PRASA ILUSTROWANA" S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 117-98 i 504-46.